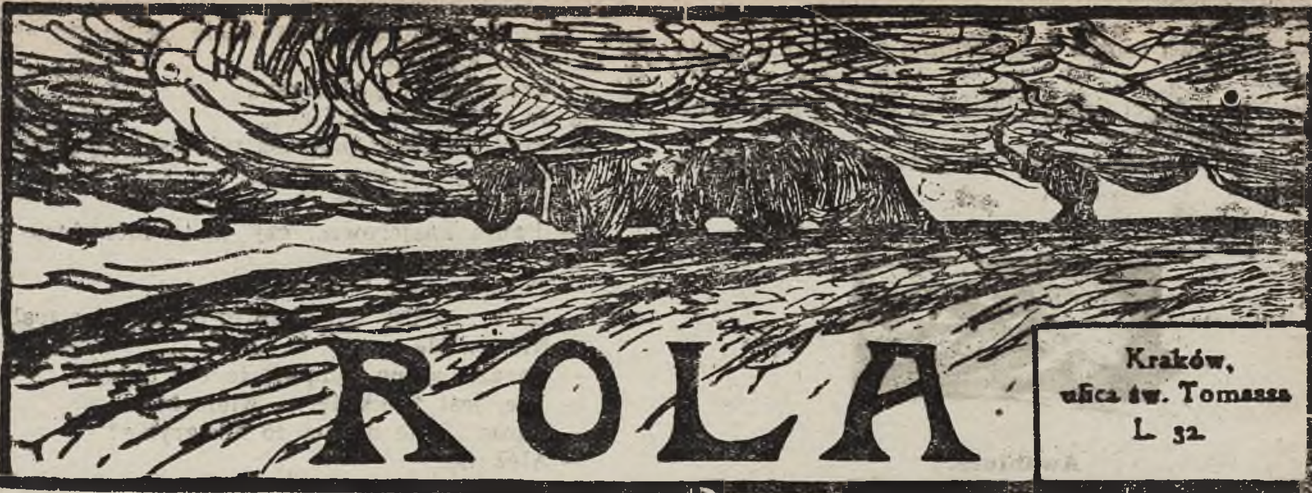
**Numer 46.** Nal. poczt. opł. ryczałtem. Dnia 17 Listopada 1929




ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.









**„Zemsta cygana“**
**sztuka w 3-ch aktach ze śpiewami i muzyką, znanego naszym Czytelnikom poety ludowego Roberta Rydza — opuściła prasę i jest do nabycia w księgarni nakładowej A. Cybulskiego w Poznaniu. — Sztukę tę polecamy naszym zespołom amatorskim.**

Bogaty jegomość zostaje na ulicy zaczeniony przez żebraka:

— Łaskawa osobo! dziesięcioma groszami chociaż poratuj...

— Tak... Ja ci dam dziesiątkę, a ty pójdziesz na wódkę do szynku...

— No, przecież za dziesięć groszy szampana nie dostanę.



**Awantura.**

— Co to za hałas było słychać u pana w kantorze?

— A to ten łotr Józio! ja mu mówię, że bidle, a on porwał papiery i czysnął mi na głowę!

— No i pan co na to?

— Ja nic, wiszedłem i pomyszlałem sobie, że papier jest czerpliwy.



**W kuchni.**

— Wstydziłaby się Maciejowa płakać przy zarżniętem prosięciu!

— Bo... bo proszę pani, jak jeno patrzę na tego nieboraka, to mi się zaraz przypomina mój nieboszczyk Maciej, który tak często bywał urżnięty! O dolaż moja, dola!

**Przed menażerją.**

Przez tłum stojący przy kasie ciśnie się żydek:

— Pani kasjerowe...

— Czego pan się ciśniesz...

— Ja mam cosz zapitacz...

— Poczekaj pan, przecież tyle osób żąda bilety...

— Kiedy jo ni mom casz...

— No, to chodź pan...

— Panie kasjerowe... czy w te menażerje som zwierze, co kąsają?

— Tutaj... wiele biletów? —

— Zaraz... a czy ten słuń, to on kopie z trąbem?

— Nie... wiele...

— Zaraz... a ten lampart to tyż ukąsi?...

— Nie, jest zamknięty... wiele bi...

— Zaraz... a te małpe, to nie gryzie?

— Ależ nie...

— Zaraz... A ten za pozwoleniem szwinia, tfy! trajf!... morskie, to un tyż nie kwika?...

— Nie, ale bój się pan Boga...

— Zaraz, za psieproszeniem, czy ten wilk to nie rozedrze chałat?...

— Ale dajże mi pan święty spokój...

— Za psieproszeniem, jeszcze chce zapitacz, ten niedźwiedź to tyż nie ukąsi?

— Nie! Do djabła, wieleż pan chce biletów?

— Ja?... Ja bułetów nie chcę, ino sze pitam, bo jak one uczekną z menażerje, to będę wiedziecz, czego mam sze bojacz...



**W pociągu.**

— Czy pan jedzie na wieś dla przyjemności?

— Nie, pani, do żony...

Numer 46. Rok XII. Kraków, dnia 17 Listopada 1929




ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

**Prenumerata** na rok 1929: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara rocznie: do Czechosłowacji rocznie 50 kor.cz., półrocznie 27 k. cz., kwart. 15 k. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli" 30 gr. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.**
**Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301.** Konto pocztowe w Pradze czeskiej: Praga Poczt. Urząd Czek. 500.868.

# Cierpienie.

Cóż pospolitszego na świecie nad cierpienie?!... Cierpi małe dziecię, człowiek dorosły i starzec nad grobem już stojący. Różne są również rodzaje cierpień naszych. Gdyby ktoś zapragnął zebrać dokładnie różne rodzaje cierpień ludzkości, ważyłby się na przedsięwzięcie do wykonania niemożliwe, bo nawet wielotomowe dzieło nie wyczerpałoby treści o ludzkich cierpieniach. Umysł ludzki na myśl o cierpieniach drogich mu osób, o cierpieniach własnych, szuka ich przyczyny, zastanawiając się nad ich usunięciem, nad ich celem.

Dlaczego matce umiera jej najukochańsze, jedyne dziecię? Jak postępować, by dzieci za poświęcenie i trudy rodziców nie odwzajemniały się im czarną niewdzięcznością? Dlaczego ludzie służą sobie wzajemnie za katów, często nawet tam, gdzie serdeczna miłość panować powinna?

Różne są przyczyny cierpień. Jedne pochodzą z winy nas samych, są następstwem naszej nierozwagi, błędów, zaślepienia i te są najczęstsze i najboleśniejsze. Inne są następstwem zepsutej natury ludzkiej, ciasnoty umysłu, samolubstwa, niekiedy złośliwości naszego otoczenia. Inne jeszcze cierpienia, jak np. następstwa nieszczęśliwych wypadków, jeszcze trudniejsze są do wytłumaczenia. Często jednakże sami mieliśmy sposobność przekonać się, że nieszczęścia, cierpienia, jakie nas spotykały, zmusiły nas zastanawiać się głębiej nad sobą, nad celem życia, zrozumieć cierpienia innych, oderwać myśl od padołu ziemskiego i skierować ją ku naszemu, ostatecznemu celowi — Bogu.

Lecz cierpienie może być również powodem niesnasek wzajemnych, kłótni, rozpaczy, pogorszenia jeszcze większego swego losu i dalszego potęgowania się cierpienia. Jeden z najznakomitszych naszych powieściopisarzy tak się o cierpieniu wyraził: „Cierpienie i pragnienie są bodźcami, które podniecają twórczość, popychają nas do doskonalenia się. Cierpienie jest w końcu jednym z bardzo silnych, węzłów zacieśniających solidarność między ludźmi. Szczęśliwy, kto, zamiast narzekania na cierpienia, uczy się od nich" („Emancypantki" VIII str. 146. Bolesław Prus).

A współczesna powieściopisarka, którą niedawno zaszczytnie odznaczył papież za jej prace, tak znowu o cierpieniu się wyraża: „Nie trzeba nad swoją dolą nigdy rozpaczać, ale spojrzeć wokoło. Zobaczy się zawsze gorsze nieszczęścia i w porównaniu człowiek moc czerpie i zamiast bluźnić, Bogu, dziękuje". („Nieoswojone ptaki" str. 123, Marja Rodziewiczówna).

Przepiękne to są myśli i warte, byśmy je przez całe życie zachowali w pamięci i według nich postępowali. Wówczas cierpienie nam nie zaszkodzi, nie złamie naszego ducha, owszem będzie naszym, dobrym nauczycielem, zamiast rozpaczy nad sobą, wskaże nam cierpienia innych, drogich nam ludzi, i sposób, jak można ich cierpieniom ulżyć.

Niekiedy wydaje się nam, jakoby całe piekło przeciw nam się sprzysięgło, a Bóg nas opuścił. Cóż wówczas robić? W najgorszem położeniu pozostaje nam zawsze Bóg. „Gdy cię ludzie opuszczą, gdy świat sprzysięgnie się przeciw tobie, uchwyć się tem silniej Boga i tem więcej Mu ufaj, im więcej cię stworzenia odtrącają. Szczególnie wtenczas Mu ufaj, gdy wskutek zabiegów ludzkich przedsięwzięcia twoje w niwecz się obrócą i runie gmach twoich nadziei. Bądź w takim razie podobny do orła. Gdy burza ryczy i pioruny biją, małe ptaszęta kryją się w gniazdkach, a sam tylko orzeł nie da się zatrwożyć — on urąga burzy, i podczas, gdy cała natura się wzdryga, on rozpostarłszy swe skrzydła wzbija się w górę. („Życie duch." II. str. 125, ks. biskup J. Pelczar).

Nie lękajmy się więc cierpień i nigdy nie dozwólmy się im złamać. *Jan Pelczar.*

HENRYK RÓŻYCKI.

# SMOK.

Powieść z zamierzchłej przeszłości na tle legendy wawelskiej.

— Niema cię już moje kochanie, niema... Przepadły piękne wieczory nasze, przepadły nadzieje i plany zbudowane w uścisku miłosnym. ....Przyszedł najeźdca i okrwawioną kopnął cię piękna moja, a ja nawet nie umiałem cię... pomścić, bo ręka mi drżała i nie umiałem trafić.

Palce utopił we włosach, targając w bezbrzeżnej boleści, a dwie grube łzy spłynęły mu na policzki.

Krak słuchał zdumiony wynurzeń Skuby i uczucie żalu wstrząsnęło nim całym.

— Rozumiem cię młodzieńcze!... Odezwał się łagodnie Krak, bo dola Skuby jakimś ciężarem obległa mu duszę.

— Wkrótce miał mi ją Bojan oddać za żonę, a on miał na starość przy nas zamieszkać. Cieszyliśmy się wszyscy, nie przeczuwając nawet, żeby coś tak strasznego miało nas spotkać!

Zaciął zęby i zgrzytał z boleści, targał włosy i szeptał:

— Ale ja cię pomszczę, kochanie!...

Umilkł i popadł w jakąś martwotę, a Krak podczas tego rozmyślał nad popełnioną na wstępie przez Seminga zbrodnią.

Przed oczyma widział wciąż nagie okrwawione dziewczęce ciało i zrozpaczonego ojca.

Domyślał się dlaczego tubylcy na ich widok pierzchali w zabobonnym strachu, przekładając śmierć nad ujęcie i poznał, że choćby tylko przez ten czyn Seming nie potrafi tu ugruntować swej władzy.

Nie wiedział wprawdzie jeszcze, co zamierzali mieszkańcy uczynić. Ale puste opuszczone domostwa, dojrzałe, niezebrane plony na polach świadczyły, że przed najazdem ukryli się w lasy.

— Dlaczego dotąd nie wystąpili zbrojno? — myślał. Dlaczego unikają zetknięcia się z nami?... Z pewnością gromadzą w borze siły i lada dzień napadną! Hm!... źleby było!... Bo ludzie nasi najpierw zdziwieni umykaniem mieszkańców, zaczynają z jakąś bojaźnią opowiadać nie wiedzieć skąd zaczerpnięte wieści o gromadzeniu się wojowników w puszczy i nie chcą pojedynczo wychodzić do lasu.

Krak sam pierwszego mężczyznę na tej ziemi spotkał Skubę, który zaraz ujął go swoją odwagą.

Ponieważ zawsze myślał o tem, żeby powrócić do swoich stron ojczystych, a mając na pamięci wyrocznię i rady kapłanów w gontynie Światowida, chciał go oszczędzić, że może mu się przydać, użyty w powrotnej drodze, na którą spodziewał się, że Seming nie użyczy mu swoich ludzi.

Nie dziwił się też tedy, że Skuba wypuszczał strzały z zasadzki na księcia... Bo przecież Seming jest najeźdcą jego ziemi, a i on sam co innego nie uczyniłby u siebie. Dzisiaj zaś poznał jeszcze lepiej, jakie czynniki składały się na to, że czychał na życie księcia i tembardziej usprawiedliwiał jego czyn.

— Nie! Ja nie powinienem pomagać Semingowi w budowaniu państwa.

I nagle porwała go złość, na siebie, na Seminga, na swoją rodzinę i na to wszystko, co się złożyło, że losy swoje połączył z losami okrutnika.

Miał chęć skoczyć do wody, by zakończyć męczarnie, lub wpław dobić brzegu, umknąć w bór i schować się jak najdalej od ludzi.

Zbrodnia Seminga olbrzymiała w umyśle jego i wzbudzała coraz większy wstręt do tego człowieka o zwierzęcych instynktach. „Przystańcie panie do nas!“.... cisły mu się słowa Skuby na pamięć, ale on je odpędzał, jako coś bardzo niegodnego.

— Wracać mi chyba do domu!

I szarpnął się na posłaniu, jakby zamiar chciał natychmiast wykonać, lecz przywiązany mocnem łykiem liny, tylko popatrzał na Skubę, który z twarzą ukrytą w dłonie siedział skulony na gałęzi i dyszał, jak miech kowalski z rozpaczy.

Noc zaległa czarna i tylko na zachodzie błyszczał nad ciemnym pasem boru rożkami zwrócony ku górze księżyc. Krakowi ze zmęczenia kleiły się oczy, sen go morzył coraz bardziej, wkońcu zmógł go, że usnął.

Skuba wzdychał. Mokra odzież ziębiła go srodze i jakieś ciarki chodziły mu po plecach. Powieki kleiły mu się coraz bardziej. Wkońcu uległ i on. Oparł się o pień drzewa i drzemał.

Kiedy się ocknął, świtało. Pomiędzy stożki kretowisk i wystające korzenie drzew, sączyła się już tylko woda, i małemi strumykami umykała w stronę głównego łożyska. Gałąź uwiązana dla znaku wysokości wylewu zwisła z dębu i wolno bujała w powietrzu.

— Minęło, — szepnął i szarpnął za ramię Kraka. Woda opadła, a nam czas, aby osuszyć nasze ubrania! — rzekł do zbudzonego Kraka.

Odplątał węzeł lipowego powroza i pomógł zejść na ziemię Krakowi, gdzie, grzęznąc w rozmokłej ziemi, skierowali swe kroki do sioła widnego z oddali.

Krak w mokrem skórzanem odzieniu, bez kołpaka i miecza, które zgubił w topieli, z przewiązaną parcianą szmatą głową, drżał od rannego chłodu, a rana na głowie sączyła mu ciągle przez szmatę krwią i cieniutką miseczką lała się mu po twarzy i szyi za kołnierz spencera.

Zesztywniałe od rannego chłodu nogi stawiali w błoto niepewnie, potykali się na korzeniach sennie, wreszcie wyszli na polanę i za chwilę Skuba kołatał do drzwi starej wróżki.

Wiedźma zaspana odsunęła zaporę u dźwierzy i niemało zdziwiona obcym przybyszem, omazanym krwią, wpuściła ich do środka.

Skuba polecił Wiedźmie opatrzyć Kraka.

— Nasz to człowiek, matko, chociaż we wrażem odzieniu! Opatrzcie ranę, a ja wnet wrócę, to i w tem zrobimy przemianę!...

I wybiegł, by w borze odszukać swoją rodzinę i zaopatrzyć się w suche ubranie.

Wiedźma usadziła na środku izby na pieńku u ogniska Kraka, odszukała w popiele tlejące zarzewie ognia, dmuchaniem wydobyła płomyk, a rozniecіwszy ogień, nastawiła trójnóg gliniany z mlekiem, wyszukała jakieś ziele, i popluwając przed urokami, zabrała się do opatrzenia rany.

— Bez uroku, ale wam panie ktoś porządnie rozwalił głowę, mało, a byłby rozłupał kość!...

— Łódź wywrócona falą uderzyła mnie w głowę!

— Ale was panie rypła tęgo i dziw tylko, żeście żyw, bo jak widzę odzienie macie mokre, to i do wody musieliście wlecieć?!... — skrzeczała Wiedźma palona żądzą ciekawości poznania przygody.

— Pewnie, że byłyby ryby miały ze mnie stypę, żeby nie ten młodzian.

— Skuba?!

— Dobry to chłopiec i żal mi go, bo go szkoda!...

— Dlaczego? — pytał zdziwiony Krak.

— Bo zawziął się na smoka, że pożarł jego dziewkę i ino patrzeć, jak jego to samo spotka!...

Poczem umilkła, jakby się zlękła, że za wiele powiedziała.

Obmyła ranę wodą, zmiażdżone części skóry odcięła nożykiem, obłożyła zielem, a na wierzch nakładła ośródki z chleba urobionej z pajęczyną i obwiązała suchą szmatą.

— Jutro, jak przestanie krew ciec, to wam panie przyłożę gojącego ziela, że za trzy dni to ino znak zostanie, a wy będziecie zdrowi!

Grzanego mleka nalała do kubka, i podała Krakowi, a sama mamrocząc jakieś zaklęcia, sypała ziele na ogień, wywijała miotłą po kątach izdebki, goniła w koło ogniska, i popluwała, by odpędzić złych duchów, którzy mogliby przeszkodzić prędkiemu gojeniu się rany.

Nie długo wrócił Skuba przebrany w nowe konopne spodnie, długą do kolan koszulę, przepasany skórzanym pasem, z oszczepem i łukiem w jednej ręce, a w drugiej węzełkiem świeżego odzienia.

— Zrzućcie panie te rozmokłe skóry, a ubierzcie to! — i złożył u jego nóg węzełek, a sam wyszedł z Wiedźmią z chaty.

Krak rozebrał się ze skór i przywdział z grubych nici utkane konopne spodnie, taką samą koszulę, przepasał pasem, a na ramiona narzucił krótki do pasa kożuszek.

Jasne jego włosy i modre duże oczy w sam raz pasowały do tego słowiańskiego stroju. Z wysmukłego młodziana zaszytego w skóry obcisłe, stał się w tem odzieniu jakby niższy i wcale do tamtego nie podobny.

— Zda mi się, że waść we właściwą teraz wlazłeś skórę! — rzekł Skuba wesoło, obejrzawszy na wszystke strony Kraka.

Wiedźma tymczasem przyniosła suchej trawy i mchu, usłała leże, a nakrywszy je baranią skórą, poprosiła obcego, by spoczął. Skuba zaś rozwiesił mokre skóry Kraka na żerdzi, by wyschły, poczem usiadł i posilał się kawałkiem czarnego chleba, który popijał miodem, podanym mu przez Wiedźmę.

— Chociaż do swoich macie niedaleko, panie, ale jabym wam radził spocząć tu na tem posłaniu!... Ja tymczasem upoluje na obiad jakiego zwierza. Podczas tego wyschną wam wasze skóry, ziemia po wylewie obciągnie, to pod wieczór będziecie mogli powrócić do swoich!

— Gościnny to jak widzę lud! — pomyślał Krak, i bez oporu przystał na propozycję Skuby.

Wiedźma zabrała torbę, sękaty kij i poszła do boru po owoce i grzyby, a Krak cisnął się na przygotowane łoże i za chwilę zasnął.

Śniło mu się, że na opolnym wiecu zwołane rodziny Starżów, Jaksów, Bogorji i Toporów, w gaju odwiecznych dębów, przyjmowali go okrzykami, jako swego władykę. Obok niego stała Wilja, córka władyki Sławoja, z rozpuszczonemi włosami, piękna jak wymarzona boginka i podawała mu wianek z żółtych rozchodników, takich samych, jakie miała na głowie, kiedy ją w towarzystwie Raninga i innych spotkał samotną w borze obok zgliszcza na Tynie. Wyciągnął rękę i odebrał podany sobie wianek, który, o dziwo, natychmiast przemienił się w jego rękach we wić, uwitą z dębu, wielkości koła od wozu, a tak ciężką, że żadną miarą nie mógł jej podnieść. Stroskany oparł się o nią ramieniem, aż tu z pod niej wypełzał gad wstrętny, o głowie jaszczurczej, z cienkim wystającym językiem. Nagle gad począł pęcznieć, wydłużać się, że stał się większy od wołu, a językiem, zaostrzonym na kształt grotu, ze sykiem sięgnął w stronę Wilji. Ona blada i drżąca, z lekkim okrzykiem przytuliła się do niego z ufnością tak, że czuł przez kaftan ciepło jej młodego ciała i słyszał tętno jej serca. Atakowana przez potwora, drżała i starała się schować w jego objęciach. On chciał ją bronić, lecz jakaś ciężka niemoc owładnęła nim, że w żaden sposób nie mógł dobyć miecza, aby ciąć potwora. Z jednej strony ciężył mu wianek przemieniony na wić, a z drugiej słaniająca się w jego objęciach Wilja. Nagle w tej bezwładzy opanował go lęk. Lęk okropny przed potworem, na którego nie miał sił. Pot kroplisty wystąpił mu na czoło, bo zdało mu się, że potwór swoim spiczastym językiem już, już dosięgnie białego ramienia drogiego mu ciężaru. Gdy w tem nagle zjawił się Skuba i nogą obutą w łapcie z lipowego łyka przystąpił głowę gada. Ocknął się i ująwszy na ręce Wilję, począł uciekać w bór, a wić niesamowicie ciągła się za nim, plątała mu nogi, że potykał się co chwila, aż wkońcu uderzając głową o pień, upadł jaki długi.

W głowie załupało go strasznie, że porwał się i usiadł zbudzony.

Rozglądnął się mimowoli w koło, jakby szukał drogiego ciężaru, z którym co tylko uciekał borem. Wyraźnie czuł jeszcze jej ciepłe ciało na swej piersi.

Siedział na klepisku obok posłania, z którego, widocznie, pasując się we śnie z potworem, spadł, przyczem uderzył głową o klepisko, ponieważ rana na głowie bolała go srodze.

Dźwignął się z klepiska, legł z powrotem na posłaniu, a podłożywszy ręce pod głowę, przymknął oczy i leżał spokojnie.

Głowa bolała go bardzo, a urażona rana dolegała mu jeszcze więcej.

Sen, który miał przed chwilą, wycisnął jakieś szczególne piętno na jego duszy, a obraz pięknej córki Sławoja nie schodził mu z oczu.

Poczuł jakąś przemianę w sobie... Jaką, sam nie wiedział... Ale czuł, że jest dziś inny, jak był wczoraj, kiedy z drużyną wyruszał do boru i inne dzisiaj były jego zadania i cele.

Pomału sen ustąpił jawie, że myślą począł rozważać ostatnie wypadki. „Przystańcie panie do nas, a ja wam skrzyknę wszystkich!“ — cisły mu się na pamięć słowa Skuby.

— Tego nie zrobię! — szepnął — bo musiałbym ze Semingiem stoczyć walkę, a tego nie chcę i nie mogę!

— Byle tylko rana podgoiła się, wracam do swoich — zadecydował wkońcu.

Myślą pobiegł do rodzinnych stron, wspominając sobie starego ojca i matkę, jak z tęsknotą wyczekiwali jego powrotu. Uprzytomnił sobie pożegnanie się z nimi, kiedy wyjeżdżał ze Semingiem, pielgrzymkę do gontyny Światowida, wyrocznię, jazdę morzem, potem w górę Wisły. Zastanawiał się nad spotkanymi ludami i okolicą, aż znowu utknął nad Wawelem na zbrodni księcia.

— Nie zdobędzie on tej ziemicy, nie!... — szepnął i myślą przeniósł się za warowny w górze rzeki Tyn.

— Tak, tam Władyka Sławoj siedzi ze swym licznym rodem i... ma piękną córkę.

Zerwał się z posłania, rękami złapał się za głowę i wielkiemi krokami chodził po izbie naokoło ogniska.

— Czy mnie boginki odmieniły czy co?!... szeptał do siebie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

# Dzieci.

Wesołe chrzciny, gości wiele, śpiewania i przepijania ile się zmieści, a potem?

A potem dziecko się chowa.

Jedna matka radaby o dziecko więcej się potroszczyć, ale biedaczka w ciężkiej pracy, nie ma chwili wolnej, by do dziecka bodaj zaglądnąć.

Druga matka mogłaby mieć czas, ale nie ma chęci, co jej tam dziecko w głowie, byle dała jeść, jaką taką koszulinę na grzbiet zawlokła i z izby wygnała, niech jej nie zawadza.

Przyjdę do domu i pytam:

— Gdzież wasze dzieci?

— A z dzieciskami!... Człowiek rad, kiej to z domu ustąpi i nie wrzeszczy i nie dokucza ciągle.

— Jakże ono dokucza?

— A takie to ciekawe i nic, tylkoby cały dzień pytało: — Mamo!... a czemu to słońce zachodzi? Mamo, a czemu sąsiad bogacz, a my biedni?... Tak wyganiam niech idzie, bo gdzie mnie tam do gadania z takim bąkiem.

I wygnany z domu bąk idzie pomiędzy inne dzieci i pyta i słucha i uczy się rozmaicie.

Oj! uczy się, uczy!

Nauczą go kradzieży i przekleństwa, uczą go i bezwstydnych słów i zabaw niepoczciwych, nauczą bić kamieniami, męczyć zwierzęta i rozmaitych innych rzeczy.

A potem, kiedy dziecko zacznie być dla rodziców złe, i niegrzeczne, kiedy zacznie im odpowiadać hardo i wstyd przyniesie do domu, wtedy dopiero matka w płacz: — Chowałam go, chowała i takiego smutku się doczekałam!

Nie chowałaś dziecka, matulu, tylkoś je karmiła i odziewała, a to nie jest chowanie.

Chować dziecko, to znaczy nietylko ciało nakarmić i ubrać, ale i duszę trzeba mieć w opiece i czuwać nad tem, co dziecko słyszy, widzi, robi, i w jakiem towarzystwie przebywa.

Nie mogą większej krzywdy dzieciom uczynić rodzice, jak gdy je wyganiają z domu, ażeby nie zawadzały i nie dokuczały pytaniami.

Nie mogą uczynić większej krzywdy dzieciom rodzice, jak gdy opieki im serdecznej i ciepłej nie dadzą, jak gdy nie otoczą ich miłością tą rodzicielską, która podstawę szczęścia buduje.

Dzieci — to są młode roślinki, które potrzebują i światła i ciepła, ażeby rosły i rozwijały się. Światło i ciepło tylko z serc rodziców na dusze dziecięce pada i tylko kochane dzieci rosną w szczęściu.

Wychować dziecko tak, ażeby i jemu było dobrze na świecie i drugim, którzy z nim żyć będą, ażeby dobrze było, to jest wielki czyn i to jest obowiązek święty.

Dzieci w domu nie powinny nigdy zawadzać, bo one mają prawo w rodzinnem gniazdku kolebać się i bujać, bo one są już obywatelami i dziedzicami tej ojcowizny i od rodziców żądają nauki i rozmowy, gdyż rodzice są ich nauczycielami i wychowawcami.

Dom bez dzieci smutny i głuchy jak las bez ptasząt, jak łąka bez kwiatów. Życie rodzinne bez dzieci to samotna droga bez nadziei.

Dzieci dodają otuchy i siły rodzicom do pracy na przyszłość

Dzieci napełniają życie rodziców blaskiem tej nadziei, która każe spodziewać się, iż wszystko dobro i szczęście dla dzieci da się zdobyć.

Lecz dzieci trzeba umieć wychowywać i umieć szanować.

Przedewszystkiem w pierwszych latach życia należy otoczyć dzieci miłością ową słodką i tkliwą, która tak niezmiernie jest młodemu sercu potrzebna, bez której źle i zimno dziecinie w domu.

Nie idzie tu o rozpieszczenie i pobłażanie. Nie idzie o to, ażeby się miało dzieci psuć i zezwalać im na wszystko. Lecz można dzieci kochać i dobrocią otoczyć, a przytem roztropną karność zachować. Dzieci powinny to poznać i rozumieć, iż jeśli rodzice czego nie pozwolą, to nie ze złego serca, i nie z gniewu, ale z troskliwości o dobro i szczęście dzieci.

Dzieci trzeba tak wychowywać, ażeby one miały zupełną ufność i nie kryły się przed rodzicami, ani z myślami, ani z czynami. Nikt w świecie nie wskaże dziecku tak prostej i równej drogi życia, jak to uczynią rodzice, ale muszą owi rodzice prowadzić dziecinę dzień po dniu, krok po kroku i wskazywać przykładem, jakimi szlakami prawdy i cnoty życie się toczy. Z żałością zaś spostrzega się inne objawy wśród rodzin polskich.

Dzieci się trąca, wypycha, bije, przeklina, a wreszcie uważa się tylko za robotników, którzy będą przynosili do domu pieniądze.

— Muszą się nasze dzieci przyzwyczaić do pracy i do biedy, bo ich życie całe takie będzie — mówią rodzice. Gdyby nam dzieci nie pomagały, to byśmy nie wydołali wśród trudów.

Zapewne — nawykać musi dziecko do pracy i do obowiązku, ale to przyzwyczajenie musi być utrzymane tylko w tej mierze, na którą siły dziecka pozwalają. Ani zawielkich ciężarów dziecko nie powinno dźwigać, ani za wiele godzin pracy nie należy mu dawać, bo ono rośnie, rozwija się, potrzebuje swobody, radości i ciepła serdecznego.

Czy myśleć możemy, iż się serce dziecka nie żali na krzywdę i nie budzi się w młodej duszy gniew na rodziców. Potem dziwi się ojciec i matka, powiadając: Takie te dzieci złe!... Uczciwego słowa rodzicom nie rzekną. Złość w sercu dziecka rośnie i buja wtedy, kiedy my się źle z nim obchodzimy.

Dziecko, które w domu rodzicielskim zazna wiele szczęścia i dobra, które nigdy nie pomyśli nawet, iż rodzice mogą mu źle zrobić, dziecko takie dla rodziców całe życie wdzięczne. Tylko ci rodzice, którzy dobrze z dziećmi postępują, wiedzą, jakie złote i słodkie żniwa na starość zbierają.

W jednej ruskiej piosence takie są słowa: Świat nie ojciec, a życie nie matka. Nie zna człowiek później szczęścia, gdy go nie da rodzinny dom. Nikt nie wie, jakie życie rozwinie się przed naszemi dziećmi, czy im tam sława i bogactwo drogę kwiatami uścieli, czy im tam ludzie przyjaźń i miłość dadzą, czy im tam z każdej pracy plon dobry urodzi się. Ale to wiemy, że nikt tak szczerze nie będzie naszych dzieci kochać, jak rodzice, nikt im szczęścia nie będzie tyle życzyć, co uboga matka w chacie biednej i ojciec spracowany mozolnie.

Niech dziecko nasze wie to i czuje na każdym kroku, iż miłość szczera otacza je. Niech ono nawet wtedy, gdy na karę lub upomnienie zasłuży, pozna, iż czynimy to z bólem, lecz dla jego dobra i szczęścia.

Życie w rodzinnym domu powinno być dla dzieci słodyczą i spokojem, tak, ażeby i kiedyś później, — wśród życia kolei, — wspomnienie owych dni jak gwiazda jasna świeciło.

*J. Scrafin.*

# W OPAŁACH...



Lis w opałach!... Jedno z najprzebieglejszych, najsprytniejszych zwierząt naszych lasów wpadło w zasadzkę... I nie wyjdzie z niej chyba cało, bo już jeden z psów, odwiecznych wrogów lisiego rodu pochwycił nieprzyjaciela za gardło, a drugi nastaje nań z boku...

I jakże się to stało, że mistrz takiej miary nie uniknął groźnego spotkania, nie wywinął się pieskom?

A ot, jak było...

W lesie, nad Pilicą, panowała cisza. Około jednego z drzew biegał dokoła lis, kręcąc się przytem w koło, jakby go kołowacizna opętała. Co robił? Do czego zmierzał?...

Oto na drzewie, przy którem tańczył i czatował, siedziała wiewiórka i obiegała gałęzie, nie spuszczając lisa z oczu. Stopniowo chodząc po pniu drzewa coraz to niżej, była już tylko o jakie dwanaście stóp od ziemi. Lis wtedy, jakby mu się sprzykrzyło bieganie naokoło drzewa, odszedł powoli do pobliskiej polanki i wyciągnął się na brzuchu. Tak leżał nieporuszony, machając ciągle kitą.

Wiewiórka zeszła teraz z drzewa i ostrożnie, ciekawie zbliżyła się do lisa, skoczywszy z jakie dziesięć kroków naprzód i zatrzymawszy się znowu. Poznawszy nieprzyjaciela, zwróciła się i chciała uciekać, ale lis zerwał się, odciął jej drogę do najbliższych drzew i popędził na polankę. W jednej chwili, dawszy kilka błyskawicznych susów, chwycił zwinną, lecz oszołomioną tem wszystkiem „tanecznicę lasów". Ale unosząc zdobycz i racząc się nią, tak się zacietrzewił, że wpadł w zasadzkę. Oddawna bowiem gajowy czatował nań nad rzeką z pieskami wypróbowanej zręczności. Tak wpadł sprytny rabuś w zastawione na siebie sidła.

Pewien myśliwy opowiadał ciekawe zdarzenie z lisem:

„Kiedy po wieloletniej nieobecności przybyłem do domu rodzicielskiego, dowiedziałem się, że w obrębie zabudowań folwarcznych obrał sobie lis mieszkanie, i że nie można wykryć jego nory. Ufny w myśliwskie doświadczenie, przyobiecałem wyszukać go w krótkim czasie i natychmiast przystąpiłem do działania. Dość było kilku rzutów oka na właściwe podwórze, na którem dzień i noc biegały cztery psy domowe i wyżeł, aby przekonać się, że tu lis nie mógł się ukrywać. Przeszedłem do ogrodu kwiatowego, za którym ciągnęła się łączka i sad. W jednym jego końcu stała piekarnia otoczona krzakami bzu, a za nią szumiał strumyk, stanowiący granicę ogrodu.

Obejrzałem kilka drzew, mających pnie zmurszałe, ale na trawie nie spostrzegłem nigdzie najmniejszego śladu pobytu lisa. Zwiedziłem i piekarnię, chociaż ta zawsze była zamknięta, trudno było przypuścić, aby się lis mógł do niej dostać.

Wszystko napróżno.

Kiedy obchodziłem naokoło piekarnię, składającą się z budynku drewnianego i murowanego, doszedł mnie znany mi bardzo dobrze odór od lisa pochodzący. Wyżeł mój poczuł go także, podniósł łeb do góry, wsparł się przedniemi łapami na mur pieca, jak gdyby chciał zajrzeć pomiędzy wierzch muru i dach, i potem zaczął tropić między bzu krzakami. Tu przed kilkoma laty osadzono króliki, ale je zalał wiosenny wylew strumyka. Znalazłem jeszcze dwie nory, świeżo u wejścia rozkopane. Wysmarowawszy dobrze jamnika tłuszczem od pieczeni, pozostałem, ażeby w razie nieobecności lisa, ukryć ślady rewizji w jego mieszkaniu dopełnionej, puściłem go do nory. Po chwili wyszedł powoli, głową naprzód, co było znakiem, że nic nie znalazł. W lesie pobliskim także nie znalazłem najmniejszego śladu.

Od tego czasu zaczęło się najstaranniejsze pilnowanie podejrzanego punktu, który był bardzo dobrze obrany, jeżeli lis rzeczywiście tam się ukrył, psów bowiem nie wpuszczano do ogrodu. Gęsi i kaczki zawsze można było napotykać wzdłuż strumienia, i ani wycieczki, ani powrót lisa, który musiał zawsze przechodzić przez wodę, nie pozostawiały tropu. Po mozolnych poszukiwaniach, po bezsennych nocach, po różnych próbach zasadzek z pieczonemi śledziami, miodem, żelazami zakładanemi na strumyku, doszedłem do przekonania, że lis musiał zmienić mieszkanie.

A jednak w całem sąsiedztwie skarżono się na rabunki... Drobiu nie można było utrzymać. Po drugiej stronie strugi, na mokrej łące, w olszynie, zawsze pełno było pierza, resztek skrzydeł i liści.

Sam nigdy nie widziałem lisa, służącym jednak i parobkom często się pokazywał.

Parobek, orzący na polu w pobliżu lasu, ujrzał raz lisa tak blisko, że go uderzył biczem.

Od tego czasu nigdy już go więcej nie widział.

Zwykle wychodziłem z domu ze strzelbą. Czyżby dlatego lis mnie unikał.

Pewnej niedzieli szedłem do kościoła długą, wąską ścieżką, przez mokrą łąkę. Lis stał na ścieżce, z jedną łapą podniesioną w górę, ostrożnie mi się przyglądając. Na drugą niedzielę znów spotkał mnie bez strzelby i najspokojniej przed oczami memi przeszedł przez łąkę, niby gospodarz oglądający trawę.

Nadeszły żniwa, a ja lisa jeszcze nie schwytałem. Sąsiad założył nań truciznę, ale niebezpieczne te przy-

smaki lis kotom pozostawił. Kryjówki jego nie można było odszukać.

Jednego wieczoru jamnik, tropiący sam dla własnej przyjemności w zbożu, przy dąbrowie, schwycił jakieś zwierzątko. Kiedym się zbliżył do miejsca walki, poznałem, że to było lisiątko, leżące bez życia W pół godziny potem lisiak, mający co najwięcej ze trzy miesiące, ożył, wstrząsnął się, wstał i zaczął się wlec, chwiejąc się i wyszczerzając zęby. Darowałem mu życie, założywszy obrożę i przymocowawszy w stajni na łańcuszku do ściany.

Mimo obecności psów, zdaje się, że stary lis odważył się przyjść na podwórze, w zamiarze oswobodzenia młodego. Po trzech dniach wyznaczyłem jeńcowi na mieszkanie piekarnię. Drzwi pozostawiłem otwarte. O, dziwo, codziennie znajdowałem przy nim pierze, resztki kości drobiu, kretów, co świadczyło, że stary odwiedzał młodego, uporczywie odrzucając pokarm, jaki mu dawaliśmy.

Kiedy raz pi owadziliśmy młodego lisa na łańcuszku, zaczął się on całą siłą wyrywać do pieca w piekarni.

Skoczył na mur i chciał wemknąć się między sklepienie i dach spadający stromo. Wtedy zaszmerało coś nad murem, zaczęliśmy więc silnie wstrząsać dachem, zleciało kilka dachówek — i wysunął się na wierzch lis-senior, zleciał szybko z dachu, kilkoma susami dostał się do wody i zniknął w olszynie.

Wygodniejszego mieszkania nie mógł sobie wynaleźć.

Ale i na największych filutów wybija nareszcie ostatnia godzina: i lisa dosięgnął wkrótce los fatalny. Ominął tysiące większych niebezpieczeństw, a zgubiło go małe, nieprzewidziane.

Przez kilka nocy z rzędu lis-junior wył tak wściekle, że zmiarkowaliśmy nieobecność starego. Powodem tego była bardzo ważna okoliczność. Sąsiad mój wykopał nową studnię i od kilku tygodni czekał na cegłę do obmurowania. Tymczasem otwór studni przykrył jako tako deskami. Gdy znowu przystąpiono do roboty, znaleziono w studni żywą, zupełnie zdrową kaczkę, której od kilku dni brakowało, a przy niej martwego lisa.

Goniąc kaczkę, w zapale myśliwskim wpadł wraz ze swoją ofiarą w śmiertelną dla siebie pułapkę".

Taki był koniec tego, można śmiało powiedzieć, jednego z najprzebieglejszych lisów.



# MACIEK BZDURA GADA:

Bartek od Furgaca to o wszyćkiem lubi gadać, a najbardziej o babach. Jak wlizie z swem jęzorem na jaką babę, to juz go ni może utrzymać za zębami, ino gada i gada, co mu ślina na język przyniesie. Co prawda, to i ja takiego gadania słuchać lubię, bo to już taka ludzka natura, że do zakazanego owocu najbardziej cłeka ciągnie.

Wkiejsik powiada Bartek do mnie:

— Maciek, cy wies na co Poniezus stworzył baby ?

Mądrala, myślę se, zapytać, to się byle kto potrafi, ale rozumnie odpowiedzieć, to nie kużden. Niby one wszyćkie na jedno kopyto robione, a przecie kużda jest inaksa i tak wygląda, jakby kużda była do cego inksego, ale naogół, to kużda powinna pomagać chłopu w robocie, cy to przy zimniakach, cy przy sianie, cy przy żniwie. Powinna chłopa wychędozyć, jeść mu ugdysić, i jego dziecka zabawić. Tagem też odrzekł Bartkowi, a on mi na to:

— Głupiś — odpowiada — Wszyćko to było inacej, a jak chces, to ci opowiem.

Znałem Bartka, że to cygan gorsy od hadukata, ale i taki casem, jak się omyli, to prawdę powie. Zacąłem słuchać, a Bartek zacął gadać, albo lepiej, to najpierw on zacął gadać, a ja zacąłem słuchać.

— Poniezus — powiada Bartek — jak ino świat ten stworzył z piasku — tak spostrzegł, że jest na niem pusto i smutno. Choć drzew i wszelakiego gadu było pełno, ale wszyćko to było głupie i nie umiało się rządzić. Powiada więc Poniezus, że temu stworzeniu trza dać wójta, coby niem rządził, bo wiadomo, że bez wójta gmina nic nie warta. Ukopał tedy Poniezus gliny z Wawrzkowego paświska i ulepił z niej wójta, któremu dał na przezwisko Jadom. Ale Jadom nie chciał się rusać, więc Poniezus dmuchnął do niego dusę i ten pirsy wójt zaraz zaczął rękami myrdać. Rozejrzał się po świecie i mu się okrutecnie podobało. Założył więc ręce za pas, wziął fajkę do gęby i posed do karcmy. Siedział godzinę, siedział drugą, siedział trzecią, a tam w chałupie jałówki się pobodły, dziecka się omało nie pozabijały, a kot wszyćko mliko z saganka wychlał, a Jadom wciąż siedział w karcmie. I byłby może tak siedział do skończenia świata... Ale zuźrał to Poniezus, podrapał się w głowę i powiada:

— Źle jest! Wójt jest, ale on rządzić sam nie potrafi, bo jemu się zdaje, że wszyćko jest dobrze. Nie widzi, że na drogach dziury, że na rzyce trzeba most poprawić, że jałówkę trzeba do plebańskiego bycka zaprowadzić, żeby trzeba pyrzu na kalenice ugrabić i żeby tyle inksych rzecy trzeba zrobić. On nie myśli o nicem, ino powiada: „Dobrze jest!"

Zasumował się Poniezus, myślał i myślał, a wreszcie tak powiada:

— Cekaj bratku! Już ja ci tu dam coś takiego, co ci ani chwili wytchnienia nie da. Będzie cię pędziło od świtu do nocy i będzie naganiało do rządzenia.

Cy będzies rano wstajoł, czy będzies wiecór sed spać, to to, co ja ci stworzę, będzie ci bezustanku gdyrać i do roboty, a rządzenia naganiać. Juz ty wtedy nigdy nie powis: „Dobrze jest!" ale przeciwnie: „Źle jest!" z gęby twojej nie przestanie wychodzić.

To mówiąc, Poniezus wyjął Jadamowi kawałek kości z garła i stworzył z niej pisarza, którego nazwał Jewa.

Od tego casu chłop na świecie wójtuje całemu stworzeniu, ale baba, jakby jaki pisarz gminny, rządzi wszyćkiem, a bidny chłop od casu stworzenia pirsej baby ni ma nietylko w dzień, ale i w nocy spokoju, bo mu go baba nie daje. I juz chyba tak do końca świata bedzie powiadał: „Źle jest!" Ha no trudno! Zachciało mu się baby, to niech na niej cirpi!

Tak opowiadał Bartek. Uśmiałem się śniego, ale przeciezem wiedział, że i teraz cygani. Wiadomo przeciez wszyćkiem, że są u nas gdzieniegdzie takie wsi, co rządzi w nich wójt a nie pisarz, jak tez są i takie chałpy, w których rządzi naprawdę chłop, a nie baba. Mało ich jest, ale się trafiają!...

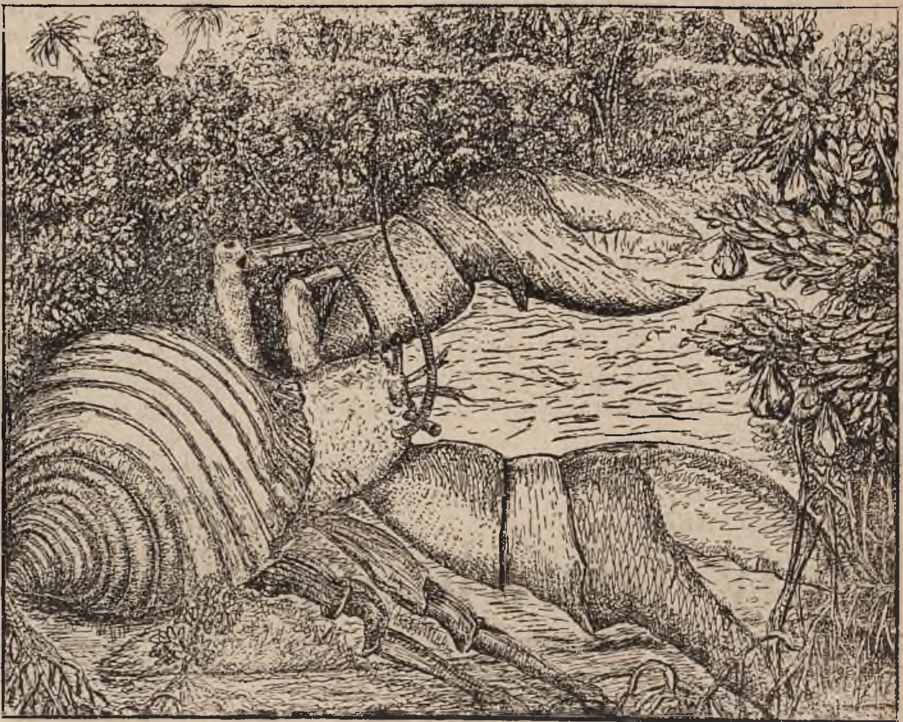
# PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

**Nowa Kaledonja II.**

Zabobonna wyobraźnia Nowokaledończyków wytworzyła sobie jeszcze pewną nadludzką istotę, może jedyną w swoim rodzaju.

Na wyspie Pott znajduje się miejsce, otoczone czcią i bojaźnią, zwane Cyabua, ozdobione drzewami i krzakami, na których pozawieszane są gdzieniegdzie przysmaki, ofiarowane bogini Kabo-Mandali.

Boginię tę przedstawia ohydny potwór olbrzymiej wielkości, jaki sobie tylko wyobraźnia wytworzyć mogła pod wpływem ogromnego strachu. Co do kształtu potwór ten podobny jest do morskiego raka, ale niesłychanych rozmiarów, bo łapy jego są tak grube, jak pień drzewa kokosowego. Ta straszna istota herkulesowej siły wywiera zgubny wpływ na ludzi. Ktokolwiek stąpa po tem miejscu, po którem ona się poruszała, dostaje zaraz nabrzmienia całego ciała, które stanowi straszną chorobę, zwaną chorobą sloniową.



Bogini Kabo-Mandala.

Jak długo ludzie czczą Kabo-Mandalę i zaopatrują ją w obfite zapasy przysmaków, zachowuje się spokojnie i nie wychodzi ze swego świętego ukrycia. Ale biada im, jeżeli o niej zapominają. Wtedy zjawia się na wybrzeżu i przechadza się długo w najrozmaitszych kierunkach, a temsamem pomnaża liczbę swych ofiar, to też krajowcy skwapliwie znoszą ofiary na ręce uprzywilejowanych jej kapłanów, sami zaś stronią od mieszkania bogini. Oczywiście nie trzeba tu dodawać, że owa straszna bogini jest wymysłem kapłanów i że owe przysmaki zjadają sami kapłani. Krajowcy jednak wierzą, że bogini ta istnieje i wyobrażają sobie ją tak, jak ją przedstawia nasz pierwszy obrazek.

Kapłani bogini nazywają się Puala-Mandala (czciciele Mandali); używają rozlicznych przywilejów, mają wyłączne prawo wprowadzania do Cyabua tych, którzy pragną zwiedzić ten przybytek, mogą też odpędzać chorobę słoniową.

Jeżeli podróżny jaki pragnie zwiedzić Cyabua bez narażenia się na gniew i przekleństwo Kabo-Mandali, winien się najprzód udać do jej kapłana. Idą razem, a gdy są już w pobliżu, pielgrzym otrzymuje z rąk swego przewodnika świeże listki pewnego osobliwego drzewa, które musi żuć, chuchając na stawy rąk i nóg swoich. Kapłan bierze również w usta kawałki innego drzewa i postępuje naprzód, chuchając na prawo i na lewo, aby oczyścić powietrze. Jedynie w ten sposób można zwiedzić bezkarnie siedzibę strasznej bogini. Inna i całkiem naturalna rzecz, że samej bogini nikt nigdy zobaczyć nie może.

Ale nietylko bożków czczą Nowokaledończycy — oddają oni również prawdziwą cześć religijną umarłym. Gdy umrze krajowiec, składają oni zwłoki jego we wnętrzu góry, albo też w gęstwinie lasu, zachowując tradycyjne ceremonje obrzędu. Po upływie roku wyjmują z grobu czaszkę i zanoszą w uroczystym orszaku na cmentarz familijny, zwykle niebardzo odległy od zagrody ojczystej. Tam ułożone są w pewnym porządku wszystkie czaszki należące do rodziny. — Każda rodzina ma bowiem swój odrębny cmentarz, a na nim pewną liczbę drzew, przeznaczoną do różnych obrzędów religijnych ku uczczeniu zmarłych.



Cmentarzysko Nowokaledończyków.

Dusze zmarłych śmiertelników idą do raju. Dusze naczelników inne mają przeznaczenie. Po śmierci naczelnika

dusza jego, zwiedziwszy Cyabilum (raj), wraca do Nit, małej wysepki, pod którą ma być kraj, w którym przebywają wyłącznie dusze zmarłych naczelników. Do jej wybrzeży zbliżają się zawsze krajowcy z największem uszanowaniem i składają pewne daniny w ofierze. Jeśli kto płynie koło tej wysepki, a nie ma zamiaru wylądowania, składa na powierzchni morza pewien przedmiot ofiarny, schyla przytem głowę i przestaje mówić i jeść. Ci, którzy po raz pierwszy płyną koło tego miejsca, a z właszcza niewiasty, kryją się na statku pod narzucone maty.

Śmierć naczelnika pociąga za sobą zwykle pewne przepisy surowe. Zakazuje się zrywania owoców z niektórych drzew kokosowych, przeznaczonych na uroczystości pogrzebowe. Gdyby zakaz ten był gdzie naruszony, a przestępcy nie byli natychmiast ukarani, obrażone duchy zmarłych naczelników objawiłyby gniew swój i sameby ukarały winnych, a razem z nimi całe pokolenie.

Błyskawice są tylko mruganiem oczu władców zagniewanych; grzmot, rozleganiem się gniewnego ich głosu; pioruny, zabijające ludzi, walące drzewa i skały, śladami ich mściwej ręki. Gdy burza trwa dłuższy czas, wtedy naczelnicy lub najstarsi wiekiem odprawiają modlitwy i składają ofiary przed uświęconemi czaszkami dla przebłagania gniewu i oddalenia nieszczęść, które zagrażają krajowi. — Wszyscy wyspiarze przybywają wówczas z zapasami żywności, aby wziąć udział w uczcie, odbywającej się na brzegu cmentarza. Pewna cząstka wydziela się dla zmarłych naczelników i składa przed ich czaszkami przy wymówieniu tych słów: „Składam tę część ku czci naczelników, aby nam wybaczyli naszą winę i oddalili gniew swój od nas".

Na naszym drugim obrazku widzimy taki cmentarz Nowo-kaledończyków z czaszkami zmarłych pośród drzew.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

JULJAN BACZYŃSKI.

# Złoty trzewiczek.

Powieść z XII wieku.

### 17. Bartos i Pieczarzyna.

Cicho stoi stary dąb w nizinie. Ciemna noc otula go dokoła i tylko lekkie jego gałązek unoszą się szumy. Od strony Wisły dał się słyszeć prędki ruch i mocne stąpanie, i wnet przed dębem stanął krępy parobczak. Widać go przy słabem świetle księżyca, co się rzadko przez gałęzie przeciska. Stoi niespokojny, kijem okutym w górze wywija i mruczy; na lewem ramieniu dyszy jeszcze i wstrząsa się niedobity żółty lis. Widać zakrwawione zwierzę i błyskające jego ślepia.

To Bartos rzuca się i żżyma pod dębem, że nikogo nie widać. Przestąpił z nogi na nogę, potem mocno kijem w pień dębu uderzył. Echa w dalekim borze zagrały głucho.

— Hej stara, hej Pieczarzyna, a bywaj! — krzyknął.

— Ho, ho, a czego?! — odezwał się mruczący głos z pod dębu. Rozległo się krzesanie, błysnęło łuczywo zapalone. Z poza dębu ukazała się stara, zaspana kobieta.

— A to ty Bartos... tera? — rzekła, panując nad sobą, bo była ze snu rozdrażniona. Coś rękami koło dębu dłubała, mrucząc ciągle i popychając czarnego kota, co do niej podskakiwał.

— Co... to wam noc dziwota?! A oto gadaj stara prędzej, widziałaś Jagnę, hej?! — wołał Bartos, sapiąc mocno.

Baba spojrzała na niego.

— Bartos, cóż ty tak dychasz, miech kowalski masz w brzuchu, czy co?

— Nie ino miech, ale kuźnia cała gore we mnie, a jużci!

— Taki ogień? Oho! Siądź jeno, odpocznij! — mówiła Pieczarzyna łagodniej. I podsunęła mu stary pniak. Ale Bartos kopnął go nogą.

— Cóż do Peruna, — wrzasnął — noc późna, ja chcę prędko wiedzieć, gadajcie żywiej, jakeście obiecali!

Baba przysunęła się do niego, chciała mu spojrzeć w oczy, chciała go łagodzić, lecz zaraz odskoczyła.

— Bartos, ten zwierz, zęby na mnie szczerzy, o! co to jest?

— Śni wam się? — krzyknął, spojrzał na lisa, potem nim całym o pień dębu trzasnął.

— Ma dość! — zawołał. — Ubiłem go w wiklinie, nie chce zdechnąć bestja, do Peruna!

Wykręcił się na pięcie.

— Bartos, — mówiła baba, oczy spuszczając — z Jagną ni tak ni owak, wybadać jej nie mogę, markotna ci nie jest, ale... ale...

— Gadajcie skoro!

— Spieszy ci się?

— A no!

— Ha, to ja cię spytam, — zaczęła baba, podnosząc oczy. — Czemu to Bartoszku nie myślisz o tej jasnej główce, co się świeci, niby złote rozbłyśnięte słoneczko, o tych ślepkach niebieskich, co patrzą na cię, jak te świeże bławatki ze zboża... hę?

— Co?... e!

— O tej miłej Zofce Drążkównie z za rzeki, co taka jako i ty żywa, niby ptak wesoła, co za tobą w ogień by wpadła, o tobie tylko myśli, mnie i bogów o ciebie prosi, łebska dziewucha, jak rzepa dziewucha... no?

— Zaś! — krzyknął Bartos, pomyślał trochę, a potem znów kijem mocno o dąb uderzył.

Baba poprawiła gasnące łuczywo, pociągnęła na sobie płachtę i znów badawczo wpatrywała się w niego. Bartos się otrząsł.

— Babo, nie tumań, nie bałamuć, nie żartuj ze mną, czy mię nie znasz, co?

I machnął kijem, a potem na Pieczarzynę się zamierzył.

— Ja ci gadam Pieczaro, jak Zaliwianka nie będzie moja, to ciebie Perun trzaśnie, to ja cię tym kijem, jak lisa ubiję.. to ja cię... to ja cię — wołał przytupując nogami — w czarnego kozła skórę wraz z trzema djabłami mocno zawiążę, grabowym kołkiem zatkam i hań na Wisłę... wiesz?!

— Oj Bartoszku, toż to gody dla mnie — mówiła na wpół z głośnym śmiechem — z miłymi djabełkami tak po Wiśle sobie hulać: hul, hul, hul... — Tylko nam prażonego grochu nie żałuj do mechery, żeby było co chrupać: chrup, chrup, chrup...

Nagle światło zagasło, zapanowała ponura ciemność, a z czarnej głębi lasu odbijały się echa szatańskich wśród śmiechu słów: chrup, chrup, chrup...

**18. Tajemnica.**

Baba rozpaliła teraz większe ognisko, dokładając suchych patyków. Klasnęła w dłonie, roześmiała się głośno i przystąpiła do samego chłopaka. Nie zważając na jego humor, pod brodę go ujęła.

— Oj, Bartosie, Bartoszku — zaczęła pieszczotliwie — nie markoć ty się na mnie! O żebyś ty wiedział, co ja ci mam powiedzieć!

Uderzyła się ręką w czoło.



Baba przysunęła się do niego, lecz zaraz odskoczyła.

— A to Marzanna mię ze snu zaćmiła, Swarożyce mię otumaniły, żem ci zaraz nie rzekła!

— No?!

Widziałeś Pietrką?

— Bodaj go czarny!

— A widzisz, a widzisz! Tak klaskały, tak mówiły boginki, szeptał mi Poświt, o wiem, wiem, co się z nim stało...

— Nie ma go, porwał go bies, czy co?!

Bartos przysunął się bliżej, gębę otwarł.

— O Bartosie, Bartosiczku, teraz już pewnikiem Jagienkę weźmiesz, tylko chciej!...

— Co?! — zawołał, wytrzeszczając oczy.

Pieczarzyna przysunęła mu się do samego ucha.

— Wciórności Bartosie, wciórności, Pietrka Skały już drugi dzień tu niema! Jagna płacze, choć nic nie wie, płacze, ale ustanie! Bartusiu, tylko chciej, będziesz ją miał... a o mnie też tam nie zabacz!...

Skoczył Bartos podniecony.

— Gdzież go strzygi porwały, hej?! Dokąd tego gadania, no, mówcież żywo!

Baba zaczęła teraz szeptać mu do ucha:

— Widzisz, widzisz, w kościele... ukradł złoto, hej łakomiec, z biedy to zrobił, złapali go, porwali, pójdzie na stos, nie będzie go, nie będzie...

— Pietrek ukradł, Pietrek złodziej? Nie prawda!! wrzasnął Bartos i w górę podskoczył.

Coś ścisnęło go w gardle, znów w górę się podrzucił, stanął, pomyślał i w głos się roześmiał. Żal mu było Pietrka, lecz zwolna radość go ogarniała na myśl o pięknej Jagnie.

— Skądże wiecie, hej, a to nowina?!

— Boginki mi listkami szepczą, poświsty mi o tem wieją, bo wiem! Wnet cały świat się dowie, ale teraz jeszcze cyt, cyt! Tylko ja i ty!

Pietrek odstąpił na krok, poprawił na ramieniu obsuwającego się lisa; pochylił się i stał z otwartemi ustami, coś mu się jeszcze w głowie pomieścić nie mogło.

— Pieczarzyno, — zapytał zmienionym głosem — jak tu będzie gorzał, to go już nie porwie ten piekielny starosta do siarczystego doła, co?...

Stara drgnęła, spojrzała w kawał ciemnego nieba, widoczny z pośród drzew, i rzekła:

— Widzisz, stary Pietr tam w górze dla młodego Pietrka wiele zrobi i może go puści tam, gdzie święci anieli...

— Aha! A jużci, zagrałby mu za to cnotliwie, bo i w piekle by mu też grać nie dali...

— Jeno w niebie grają, śpiewają...

— A w piekle pono tylko wrzeszczą, zgrzytają, wyją... brr!

W tej chwili zawył wilk z daleka, a kot mruczeć i parskać począł, wspinając się coraz wyżej po dębie, jakby uciekał przed wrogiem, którego czuł w pobliżu.

Kordas przestąpił z nogi na nogę i machinalnie podrzucił sobie lisa na ramieniu.

Powietrzem powiał chłodny wiatr nocy, rozdmuchując przygasające ognisko. Pieczarzyna dorzuciła nań garść chrustu.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

WINCENTY KUGLIN.

# W zaklętym młynie.

(Na nutę ludową).

I.

Ciemno już poczynało się robić na świecie i we młynie. Zapalono lampy naftowe, a te rzucały dziwne cienie, drgające, chwiejące się — długie, długie cienie. Rozchodził się turkot po starym młynie; starych kół pordzewiałych, pasów, pytlów. Chodził po młynie, jak pies kulawy, lęk jakiś wyzierający z każdego kąta czarnemi oczami. Wszystko to razem czyniło piekielny dziwny huk, aż uszy żyjącego człowieka bolały.

Był to młyn stary z dziadów, pradziadów. Najstarszy człowiek we wsi pamiętał go. Opowiadano straszne historje o nim. Mawiano, że na kole pędzonem wodą, djabeł nieraz huśtał się. Wyszczerzał zęby piekielnik. Bo też i straszne historje działy się w nim. Młyn w posiadaniu miała straszna kobieta — krwi chciwa. A zawsze wdowa. A po paru miesiącach wychodziła znów za innego. I znów po paru miesiącach został z niego cień, a potem i cień jego ginął z nim razem w sposób tajemniczy. Czy chciała wygubić ród męski? A działo się to w zapadłej części świata, gdzie takich rodzinnych spraw nie załatwiał nikt. Ale i los miał ją kiedyś dosięgnąć. Djabeł z nią mieszkał i nienawidził takiego, któryby chciał być panem zaklętego młyna. A była to kobieta ogromna, wzbudzająca postrach po okolicy. A dodawszy i to, że młyn był tuż koło ogromnego boru, w dolinie, wśród dębów stuletnich — że za młynem o sto kroków był staw bardzo głęboki, jezioro, gdzie podobno karczma zapadła się, gdyż tańczono podczas Zmartwychwstania Bożego, — wszystko to było straszne. Trzeba było nielada człowieka, by chciał pojąć za żonę ową „młynarnicę“. — A kiedy księżyc wszedł na niebo, był straszny widok w nocy. Młyn jak mieszkanie belzebuba. Okolica zaklęta. Bór głuchy. Kto przeszedł o północy koło młyna

to złamał nogę, oko wybił, lub ze strachu przez cały tydzień chodził jak obłąkany, aż go bali się ludzie.

Pewnego razu huknęła wieść po okolicy, że Jan Mątwa z za lasu poszedł do młynarnicy w zaloty.

— Ha, ukręci mu djabeł kark.

— Nie ukręciłby?!...

— A ino, ile to już poukręcał...

Ludzie bali się o Mątwę.

— Wkręci się, albo ona mu wykręci duszę gardłem.

Ale mimo to poszedł. Był wieczór. Młyn widniał zdaleka tajemniczo, a djabeł huśtał się, chichocąc na ogromnem rozpędowem kole. Ale Mątwa tego nie zauważył i wszedł do młyna. Pusto było w młynie, jak w komnatach zaklętych. Huk tylko wzrastał od czasu do czasu i worki pełne stały jakoś obłąkańczo, dziwnie, jakby w każdym nie mąka, ale djabeł był. Obsługi żadnej nie miała. Bo i któżby tam był? Ale podobno ktoś jej pomagał we młynie! Ale kto? Ale co? — Djabli, szatani, czarni z czarnemi kopytami, muskularni, z rogami białemi od mąki. Z jęzorami czerwonemi. — I pewnie!

A Mątwa wszedł. Zastał ją. Zdziwiła się, że wieczór przyszedł. Ludzie tylko w południe wożą do niej zboże. Zmiarkowała, po co przyszedł. Domyślna była „młynarnica!“ Mątwa onieśmielony wyjawił jednak rzecz całą.

— Ty moim chłopem? Za mikrnyś!

— Et, daj spokój, co odpychasz...

— Idź, idź! pókiś cały...

— Słuchaj!

— Wynoś się! Mam czas.

Krew nie woda zagrała w Mątwie.

— Ty piekielnico, szatanie przeklęty, ady ja cię zatłukę!

I chwycił ją za gardło. Nie wyrwałaby mu się była, udusiłby ją był... ale o zgrozo, za nią zobaczył aż ośmiu djabłów, z białemi od mąki rogami i okropnemi oczami. Puścił ją. Djabli przepadli. A wówczas „młynarnica“ rzuciła się na niego jak potwór i powaliła go. Upadł na ręce. I o zgrozo! Młynarnica pochwyciła siekierę w kącie leżącą. Okraczyła go. Wyglądała jak Napoleon na siwym wystraszonym koniu.

Do oczu Mątwy zaglądnęła przerażona, blada śmierć. Sekunda! Siekiera padnie. Wówczas miast lęku, powstała złość w nim okropna, nawet na tych djabłów! Machnął się okropnie! Zrzucił ją ze siebie, lecz ona uderzyła. Podniósł się tylko z podłogi biały tuman. Siekiera uwiązgła w desce. Ale Mątwa zobaczył znów djabłów przy „młynarnicy“. Zostawił czapkę i w nogi! Uciekał przez doły, wykroki i krzaki, aż przybył do wsi, jak upiór.

II.

Aliści w samą północ, tego samego dnia, powracał Jasiek, syn poczciwego gospodarza, z wojny. Droga wypadła mu właśnie koło młyna i iść tamtędy musiał. Strach nie dźwigał mu włosów na głowie, gdyż on nie takich strachów doświadczył. Idzie tedy koło młyna. Księżyc patrzy z za lasu i uśmiecha się bezczelnie do niego. Głuchy turkot coraz wyraźniej dochodzi od młyna. Północ, a we młynie migoce światło. Spojrzał błękitnemi oczyma na miesiąc złoty, co gubił blaski swe w wodzie jeziornej. Poprawił szabli swej lśniącej, czapkę na ucho naciągnął, świsnął piosenkę i szedł. I idzie tuż koło młyna. I idzie! Patrzy, oczom nie wierzy! Na kole popędowem jakiś człowiek uczepiony koło osi trzyma się kurczowo. Pomyślał: „Chwyciło pewnie biednego nieopatrznego człowieka“. „Pobiegnę do młyna, by wodę zastawiono“. I już miał skoczyć przez mostek, gdy człowiek zeszkoczył z koła wodnego i stanął przed nim. „Co za psie figle“ — pomyślał! Nic podobnego w życiu nie widział! Na kole pełno ludzi huśta się w kółko na dół i do góry! A miesiąc patrzy! A tu człowiek przed nim tajemniczy. — Oparł rękę na rękojeści szabli.

— Do stu piorunów... czy djabli?

Spojrzał na tajemniczego człowieka.

— Ha, no toś ty!

Kopyta ma miast stóp ludzkich; przez podarte spodnie sierść przegląda.

— Toś ty?

— Cóż ci do tego?

— Toś taki grubjanin, że mi przez „ty“ mówisz, bez uszanowania mojej rangi, munduru i szabli?

A znał Jasiek sztuki tajemnicze! Machnął na krzyż szablą, wyrzekłszy komendę napoleońską. — A djabłu spadły z głowy dwa rogowe rogi. Uczynił się okropny rwetes. Przybyło pozostałych siedmiu dja-



Powaliła go i pochwyciła siekierę w kącie leżącą

błów na pomoc. Ale on ciął krzyżową sztuką. Umknęli djabli. A na progu ukazała się „młynarnica“.

— Żołnierzu, pójdź w gościnę moją!

— Idę! do usług młynareczko — zawadjacko odrzekł, zmierzywszy ją wpierw oczyma.

— Pójdź, odpocznij zuchu!

Poprowadziła go. Poszedł za nią. Młyn był groźny. Huczał, skowytał bólem starego szatana bez rogów. Worki w oczach żołnierza kurczyły się, jak z bólu młode szatany. Weszli do ogromnej izby. Były tam stoły, stołki, lampa na półce i łóżka dwa stały w dwu kątach. Zakrzątnęła się gospodyni „młynarnica“ jeszcze bardziej, gdy zobaczyła sakwę dużą pieniędzy u Jaśka. Oczy jej zaiskrzyły się. Poznał Jasiek, że była zła kobieta.

— Wracasz z dalekiej wojny żołnierzu?

— Wracam z dalekiej wojny.

— Odpocznij!

— Odpocznę!

Przymilała się potworna baba. — Zastawiła stół. Jasiek spojrzał i zobaczył, jak z za ogromnej staroświeckiej szafy djabeł spoglądał. — „Coś się tu święci!“ — pomyślał. Nalała wina i postawiła przed żołnierzem. Poszła znów po coś... Jasiek przemienił jej szklanice. Djabeł z za szafy aż zgrzytnął. Przyszła

tedy i pije! Ledwie skosztowała, postawiła szklanicę, niby to spiesząc po coś do drugiej izby. Żołnierz uśmiechnął się i podkręcił wąsa. Odgadłszy zamiary młynarnicy, wstał, spojrzał srogo i rzekł głośno: „Ja jej pokażę... do stu szwadronów!“ A djabeł zaśmiał się głucho z za staroświeckiej szafy.

Spotkał Jasiek powracającą „młynarnicę“ na schodach.

— Już odchodzisz, żołnierzyku?

— Już.

— Z daleka jesteś?

— Nie... Stąd.

— To przyjdź tu jeszcze...

— I owszem.

I poszedł zamyślony. Szedł przez młyn. Aliści, skoro tylko znalazł się w sali, gdzie mełto zboże, nagle zgasły lampy naftowe.

— Do stu piorunów...

(Dokończenie nastąpi).



# Poradnik gospodarczy.

**Przechowywanie ziemniaków.**

Dwa są sposoby przechowywania ziemniaków w zimie: w piwnicach i w zwykłych kopcach. Zarówno w pierwszym jak i drugim wypadku musimy uważać, by pomieszczenie pod ziemniaki było suche i nie był zatamowany prawidłowy dostęp powietrza. Wentylacja ma decydujące znaczenie, gdyż ziemniaki pozbawione powietrza ogromnie szybko się psują i tracą swoje wartości odżywcze. Uważać należy, by w pomieszczeniach napełnionych ziemniakami nie była zbyt wysoka temperatura, która źle wpływa na odporność od gnicia i zepsucia. Właściciele większych ilości ziemniaków najczęściej przechowują je w kopcach, czyli jamach, wykopanych w suchym głębokim piasku.

Urządzenie kopców nie jest zbyt skomplikowane, jednakże zakopane ziemniaki w kopcach, jeżeli nie będą miały zapewnionego dostępu powietrza, bezwarunkowo zgniją i cała praca rolnika zostanie zmarnowana. Kopce można wykopać dowolnej szerokości, ziemniaki muszą być dobrze przebrane przed zakopaniem. Przykrywa się je słomą na 15 do 20 cm. grubo, a na wierzch nasypuje się taką samą ilość ziemi. Odrazu nie należy robić grubszego przykrycia, gdyż byłby utrudniony dostęp powietrza. Jeżeliby były mrozy w zimie zbyt silne, można dopiero wówczas dać znowu na kopiec nieco słomy i przykryć ją ziemią.

Najważniejszą robotą jest urządzenie wentylacji. Niektórzy gospodarze wtykają do kopca snopek słomy, inny znów do snopka wkłada żerdź, a gdy ziemia się uleży, żerdź wyciąga. Można zrobić wentylacje przy pomocy trzech lub czterech zbitych deseczek u dołu podziurawionych i przez nie w zimie wetkać termometr w celu sprawdzenia temperatury. Normalna temperatura w piwnicach i kopcach nie powinna przekraczać 5 do 6 stopni Celsiusza ciepła. Jeżeli temperatura gwałtownie podskoczy, jest to oznaką, że ziemniaki zaczęły gnić. W takim razie kopiec należy otworzyć i zrobić należyty porządek. Z tych właśnie względów nie powinno się robić większych kopców, gdyż w taki sposób zmniejszymy sobie kłopoty w razie gnicia ziemniaków.

Zakładając wentylację słomianą czy drewnianą, koniec wentylatora należy oprzeć na samym spodzie ziemniaków, gdyż dolne warstwy prędzej się nagrzewają i potrzebują więcej powietrza. Gdyby się okazało, że w kopcu jest nieco więcej ponad 8 stopni ciepła, należy zebrać z niego trochę okrywającej go ziemi.

**Pożytek z żołędzi.**

W tym roku prawie zupełnie nie było w naszych lasach orzechów, lecz żołędzie na dębach doskonale urodziły. Dęby przeważnie zostały wycięte podczas wojny, mamy jednak okolice, gdzie piękne te drzewa zachowały się i są istną pociechą dla starszych, — a zwłaszcza dla dzieci, — chętnie w jesieni zdzierają „capecki“ z żołędzi. Żołędzi nie powinniśmy zmarnować. Wszystkie je trzeba w jesieni pozbierać, gdyż owoce dębowe dają doskonałą kawę, lub z wielkim pożytkiem mogą być zużyte na karmienie świń, które ogromnie lubią żołędzie i doskonale od tej strawy się tuczą. Żołędzie posiadają w sobie dużo składników odżywczych. Kawę z żołędzi można w taki sposób przyszykować: zebrane żołędzie zsypać na blachę i umieścić na piecu, by należycie przeschły. Gdy skorupka zaczyna pękać, należy wybrać ziarnka, a potem włożyć na blachę i postawić do gorącego pieca i trochę zarumienić. Nie można jednak przysmalić. Ziarnka od żołędzi po wybraniu z pieca muszą mieć ciemno brązowy kolor, jeżeli jednak będą już czarne, oznacza to, że zostały przepalone i zepsute. Kto nie posiada maszynki do mielenia kawy, może zmleć przyszykowane żołędzie w zwykłych, dobrze przedtem oczyszczonych żarnach, przepuszczając co najmniej trzy razy. Chcąc urozmaicić i polepszyć smak domowej kawy, do zmletych żołędzi można dodać trochę podrumienionej i zmletej pszenicy, a mieszanka da nam jeszcze lepszą, smaczniejszą kawę. W ten sposób przyszykowana kawa tanio kosztuje i ma smak doskonały. Można naraz przyszykować kawy na lat kilka. Trzeba tylko przechowywać ją w suchem miejscu i w dobrze, hermetycznie zakrytem naczyniu. — W krajach mających dużo dębów — żołędzie sprzedają masami do wytwarzania kawy, lub na karm dla świń.

# Poradnik lekarski.

**Choleryna** (swojska) powstaje najczęściej w lecie, z powodu przeziębienia, w porze wieczornej, przemoknięcia lub spożycia niedojrzałych owoców, zepsutego mięsa, nieświeżej wody. Objawia się podobnie jak cholera.

Leczenie: Ścisła djeta; okłady gorące na brzuch i nogi, ewentualnie ciepłe kąpiele; potem jako pożywienie: kleiki, ryż, herbata, kawa, herbatka z kwiatu lipowego.

**Ciała obce w oku.** Zwinąć kawałek miękkiego papieru w małą tutkę, koniec tejże zwilżyć w letniej wodzie, lub oliwie, powiekę nieco odchylić i ciało obce owym zwitkiem zesunąć. Ciała wbite w gałkę oczną powinien wydobyć tylko lekarz.

**Fistuła zębowa** powstaje przy zapaleniu okostnej zęba, przyczem wydziela się ropa, która przebija policzek około szczęki. Po wyrwaniu spróchniałego zęba, fistuła goji się sama. Robić płukanie z szałwji i dawać ciepłe okłady z ziółek.

# KRONIKA.

**Katastrofa kolejowa.** W ubiegły poniedziałek na stacji kolejowej w Bierzanowie wydarzyła się katastrofa kolejowa, która na szczęście nie przybrała większych rozmiarów. Maszynista jadącej z Krakowa do Wieliczki t. zw. motorówki wskutek gęstej mgły nie zauważył sygnału wzbraniającego wjazdu na stację w Bierzanowie i wjechał na lokomotywę pociągu lubelskiego stojącego na tym samym torze. Motorówka wyskoczyła z szyn ulegając częściowemu zniszczeniu, przyczem 14 pasażerów odniosło lżejsze rany.

**Świętokradztwo.** Niewyśledzeni sprawcy dostali się przez okno do mieszkania księdza proboszcza w Zabierzowie koło Niepołomic i skradli dwie monstrancje srebrne, oraz dwa kielichy srebrne pozłacane wraz z patynami. Policja śledzi energicznie za świętokradcami.

**Tragedja obłąkanej.** Drwale, pracujący w puszczy niepołomickiej, znaleźli wśród lasu kobietę w wieku lat 65, zupełnie wycieńczoną z głodu. Była to chora umysłowo, błąkająca się bez żadnej opieki. Pomimo zabiegów nie udało się utrzymać jej przy życiu. Los tej nieszczęśliwej zwraca naszą uwagę na fakt, że w Polsce szpitale dla umysłowo chorych są w niewystarczającej liczbie. Na istniejących około 5.000 łóżek naliczyć można do 40 tysięcy umysłowo chorych, kwalifikujących się do zakładu.

**Kąsający narzeczony.** Panna Marja Judówna, licząca 17 lat, zamieszkała przy ulicy Ochronek we Lwowie jest tancerką kawiarnianą. Doniosła ona do policji, że jej narzeczony, Franciszek Parket, czeladnik rzeźnicki, z powodu zazdrości o jej miłość, wywołanej podejrzeniem, że go zdradza z innymi mężczyznami, dopuścił się na niej zbrodni ciężkiego uszkodzenia ciała. Mianowicie po urządzeniu spotkania się, przy pożegnaniu pod pretekstem pocałunku, chwycił ją rękoma za głowę i odgryzł jej nos zupełnie. Pierwszej pomocy nieszczęśliwej tancerce udzieliło Pogotowie ratunkowe, które następnie przewiozło ją do szpitala powszechnego, gdzie Judówna pozostała w dalszem leczeniu. Wobec tego Parketa sprowadzono do policji. Podał on do protokołu, że Judówna w ostatnich czasach poczęła go zdradzać z innymi mężczyznami, lecz wszelkie upomnienia z jego strony pozostawały bez skutku. Celem ostatecznego rozmówienia się Parket naznaczył jej schadzkę, na której prosił ją, aby pozostała mu wierną i zmieniła tryb swego życia. Gdy Judówna odmówiła temu, Parket tak zdenerwował się, że odgryzł jej nos. Wobec tego, że uszkodzenie ciała jest ciężkie, Parketa oddano do aresztu, skąd odstawiony będzie do sądu.

**Pożar pałacu hr. Zamojskiego.** W Adampolu, pod Lublinem, w majątku Konstantego hr. Zamojskiego wybuchł pożar. Spłonęła część frontowa nowo wybudowanego pałacu, który był obecnie wykańczany. Pożar zauważyła o godz. 11 rano hr. Zamojska, która zaalarmowała ludzi, zajętych wykańczaniem wnętrza pałacu. Ogień powstał na strychu w części frontowej pałacu nad kotłownią do centralnego ogrzewania. Na miejsce pożaru przybyła niezwłocznie straż ogniowa z Włodawy oraz straż koszarowa 30 pułku artylerji. Wszystkie urządzenia wewnętrzne pałacu wykonane były z drzewa, a dach również kryty był gontami, wskutek czego ogień, natrafiwszy na łatwo palny materjał, szerzył się z szaloną szybkością. Akcja straży ogniowej, wskutek braku wody, ograniczyła się do niedopuszczania ognia do skrzydeł bocznych pałacu. Pożar ugaszony został dopiero o 8 wieczorem. Spłonął cały front pałacu z niezmiernie cennemi i kosztownemi meblami i urządzeniem wewnętrznem. Straty wynoszą przeszło miljon złotych. Pałac nie był ubezpieczony. Podczas gaszenia pożaru uległ poparzeniu komendant straży ogniowej oraz jeden ze strażaków.

**Ohydna zbrodnia pod Warszawą.** Ohydny, nieprawdopodobny wprost wypadek zdarzył się tuż pod Warszawą, o kilka kilometrów zaledwie od stolicy, we wsi Kuliki, gm. Cząstków. 13 letnia Jadzia Markowska pasła na ściernisku krowy, które nie wiele sobie robiąc ze swej małej opiekunki i dozorczyni, weszły w „szkodę“, to jest na ściernisko, będące własnością małżonków Żelechowskich. Nie pomogły tłomaczenia i wyjaśnienia dziewczynki, Żelechowscy rzucili się na nią i bestjalsko, z jakiemś wprost nieludzkiem upodobaniem, skatowali tak nieszczęśliwie, że ta mimo pomocy lekarskiej, po dwóch dniach zmarła nie odzyskawszy przytomności. O ohydnej zbrodni ojciec zamordowanej zawiadomił policję powiatową, która aresztowała zbrodniarzy i osadziła w areszcie, przesyłając akta sprawy do sędziego śledczego. Nędznicy zostaną wprawdzie surowo ukarani przez sąd, ale nikt i nic już nie przywróci życia dziewczynce.

**Humor w obliczu śmierci.** Pod Warszawą zdarzył się niezwykły napad. W pobliżu wsi Benjaminów, gm. Nieporęt, jechał handlarz żydowski, niejaki Pejsach Siekierka z Radzymina. Najniespodziewaniej na jadącego Siekierkę napadło kilku rabusiów, z których jeden miał rewolwer, drugi nóż, a trzeci starą siekierę. Żyd w krytycznem momencie, gdy uderzono go kilkakrotnie i zamierzano się nań naprzód nożem, a później siekierą, zawołał z naiwnym oburzeniem:

— Co, Siekierkę będziecie rąbać siekierą?

Bandyci, przekonawszy się, że istotnie nazywa się on Siekierka, naśmiali się serdecznie i schowali topór. Zrobili przytem rewizję i zabrali tylko 300 złotych, a nie doszukali się pięciu tysięcy, które żyd miał ukryte w kamaszach. Tak więc bodaj po raz pierwszy bandytów rozbroiła odpowiedź ofiary. Siekierka chwalił się później policjantom, piszącym protokół, że pomysłowa żydowska Siekierka nie utonie.

**Potworna zbrodnia pod Koninem.** Wojewódzki urząd śledczy w Łodzi został zaalarmowany potworną zbrodnią, dokonaną pod Koninem na szosie, prowadzącej do wsi Chylin. Wieśniacy natknęli się na dwóch mężczyzn, leżących w kałuży krwi. Jak się okazało, byli to bracia Stanisław i Józef Sosińscy z Chylina. Stanisław, który już był martwy, miał całe ciało podziurawione kulami, w piersi zaś tkwił głęboko wbity nóż. Drugi Sosiński dawał słabe oznaki życia i przewieziony został do szpitala, gdzie dogorywa. Policja zarządziła natychmiast obławę i ujęła po kilku godzinach sprawców zbrodni, którymi są bracia Paweł i Jan Pałatyńscy oraz Józef Dorula. Aresztowani przyznali się do winy. Jak się okazuje, Sosińscy posprzeczali się z Pałatyńskimi i Dorulą w knajpie przy wódce, poczem ci ostatni odgrażali się Sosińskim, że ich zamordują. Groźbę swą rzeczywiście zrealizowali. Ot, tak to bywa, tak! Zaczyna się od kieliszka, a kończy śmiercią.

**Bitwa na kłonice i drągi.** Między dwoma partjami robotników, zatrudnionych przy drenowaniu majątku w Bujnach, gm. Łękawa, pow. piotrkowskiego, przyszło do krwawych starć. Robotnicy ci, wracając z pracy do domu, posprzeczali się o to, która partja lepiej potrafi wykonać roboty drenarskie. Wkońcu wymiana słów stała się tak gwałtowna, że czterech mieszkańców Krężna pobiegło do pobliskiej wsi, gdzie uzbroili się w kłonice i drągi i zaczaili się w miejscu, którędy mieli przechodzić robotnicy z Bukowa. Gdy ci nadeszli, napastnicy rzucili się na nich, bijąc ich i raniąc kłonicami i drągami. Jeden z napadniętych poniósł śmierć

na miejscu, uderzony parokrotnie kłonicą w głowę, inni doznali mniejszych lub większych okaleczeń. Zabitym jest Władysław Haładen, lat 23, ze wsi Bukowa, gm. Łękawa. Na wiadomość o dokonaniu zabójstwa i pojmaniu sprawców, ludność wsi Krzyżanowa, Sionki i Gąski zebrała się i przybyła do Bujen, żądając od policji wydania zbrodniarzy dla dokonania na nich samosądu. Policja z trudem zapobiegła ekscesom, grożąc w krytycznym momencie, gdy tłum nie chciał słuchać, użyciem broni. Zabójców osadzono w więzieniu w Piotrkowie.

**„Carewicz Aleksy“ w Chojnicach.** Przed paru dniami przybył do wydziału opieki społecznej w Chojnicach jakiś młodzieniec o bardzo mizernym wyglądzie, który przedstawił się urzędnikom temi słowy: „Nazywam się Aleksy Mikołajewicz. Jestem synem ostatniego cara Mikołaja“. „Carewicz“ prosił o małą „pożyczkę“ na dalszą podróż do Gdańska, dokąd jedzie po odbiór 3 miljardów dolarów, jakie przyznała mu Liga Narodów. W „łaskawości“ swej obiecał, że ze swego „majątku“ podaruje cośkolwiek miastu Chojnicom. Urzędnicy skrupulatnie przejrzeli dokumenty „carewicza“ i przekonali się, że pochodzi on z Warszawy, nazywa się J., jest porucznikiem w rezerwie i cierpi na chorobę umysłową. „Carewiczowi“ chwilowo wyznaczono pobyt w zakładzie krajowym w Chojnicach, zanim nie zostanie z powrotem odstawiony do Warszawy.

**Siła zbrojna Polski.** Według preliminarza budżetowego ministerstwa spraw wojsk. ogólna siła zbrojna państwa przedstawia się w sposób następujący: Oficerów 17.905, w tem 1 marszałek, 11 generałów broni, 36 gen. dywizji, 81 gen. brygady, 476 pułkowników, 875 podpułkowników, 2 468 majorów, 5.900 kapitanów, 6.550 poruczników i 1.417 podporuczników. Szeregowców 210.966. Z tego szeregowców zawodowych 37 tysięcy, w tem chorążych 1.600, st. sierżantów 5.028, sierżantów 10.147, plutonowych 12 664 i kaprali 3.261.

**Krwawa walka z więźniami.** Z pogranicza polsko-sowieckiego donoszą, że z więzienia w Łochejsku po stronie sowieckiej zbiegło po wyłamaniu krat i rozbrojeniu wartowników 26 więźniów politycznych. Trasa ucieczki prowadziła w kierunku granicy polskiej. Władze sowieckie rozpoczęły natychmiast pościg, który doprowadził do starcia. Więźniowie zaopatrzeni w broń palną i w granaty stawili zacięty opór. Po półtoragodzinnej walce 12 zbiegów przedarło się przez kordon. Na polu walki pozostało 6 zabitych i wielu rannych. Obława trwa w dalszym ciągu. 12 zbiegów ukrywa się w lasach na odcinku granicznym Radoszkowice. Dostęp do granicy polskiej uniemożliwiony jest przez sowiecką straż graniczną.

**Głód w Moskwie.** W Moskwie oczekiwany jest, jak wiadomo, wielki brak artykułów pierwszej potrzeby. Jeszcze w ostatnim tygodniu zanotowano wypadki zasłabnięć głodowych. Gazety bolszewickie podają z entuzjazmem, iż dzięki energicznej akcji bolszewików do Moskwy dowieziono 600 furmanek ziemniaków. Ziemniaki zostały zarekwirowane u okolicznych włościan, oczywiście bezpłatnie.

**Dziecko - potworek.** Umysły lekarzy petersburskich zaprząta obecnie niezmiernie ciekawy wypadek zwyrodnienia fizycznego 6 miesięcznego dziecka, które urodziło się pewnej chłopce z gubernji archangielskiej. Dziecko to przyniosła matka do szpitala w Petersburgu i zostawiła je tam w obserwacji. Okaz zadziwiającej ułomności jest zdrową wewnętrznie dziewczynką, której obie ręce, od łokci w dół, rozgałęziają się w kształcie konarów drzewa. Prawa stopa dziewczynki posiada zaledwie dwa palce, lewa zaś trzy, z których jeden rozwinięty jest również gałązkowato. Znamiennym objawem jest to, że rozgałęzienia kończyn dziecka rozwijają się wraz z niemi bardzo szybko. Wyrostki te sięgają obecnie długości 8 centymetrów, a obserwowany przez lekarzy ich przyrost w ciągu tygodnia wykazał długość jednego centymetra. Dokładne badanie małego potworka wykazało, że stopy jego posiadają zaledwie po dwie kości, zamiast pięciu, a prześwietlenie wykazało, że dziewczynka nie ma zupełnie małej kości goleniowej w prawej nodze. Lekarze głowią się nad tem zagadnieniem co wyrośnie z tego niesamowicie wyglądającego dziecka.

**Teror w Rosji.** Rosyjska policja polityczna komunikuje, że w niedzielę zostało rozstrzelanych w Rosji 18 osób za działalność kontrrewolucyjną, między innemi dwóch duchownych i czterech kościelnych. Ze wsi Kimry pod Moskwą donoszą o rewolcie chłopskiej. Sowiet wiejski postanowił mianowicie zburzyć cerkiew. Chłopi zaprotestowali przeciw temu i urządzili pochód manifestacyjny. Gdy młodzież komunistyczna przeciwstawiła się chłopom, doszło do bijatyki, w której komuniści zostali mocno poturbowani W rezultacie policja sowiecka aresztowała 13 demonstrantów, którzy bez sądu zostali rozstrzelani.

**Żywcem spalony sowiecki dygnitarz.** Gazety rosyjskie donoszą, że włościanie miejscowości Kosińsk w okręgu kamskim spalili prezesa miejscowej komuny, Siemiana Kuzniecowa. Zamknęli go mianowicie w odosobnionej chatce za miastem, dom oblali benzyną i podpalili.

**Bliźnięta o trzech nogach.** Z Berlina donoszą: W szpitalu miejskim w Akwizgranie przyszły na świat bliźnięta, zrośnięte z sobą brzuchami i mające razem tylko trzy nogi. Zapewniają, że bliźnięta te są zdolne do życia.

**Ostatnie rozgrzeszenie wśród płomieni.** W słynnej swej powieści „Człowiek Śmiechu“ Wiktor Hugo opisuje potężną scenę tonącego okrętu, na którego pokładzie znajduje się gromada zakonnic. Okręt idzie pod wodę, a zakonnice spokojnie patrzą, jak fale sięgają im po kolana, po pas, po ramiona, po szyję. I giną z modlitwą na ustach. Otóż podobna scena rozegrała się w tych dniach w Belgji, tylko nie na wodzie, ale w powietrzu i z tą jeszcze odmianą, że zakończyła się szczęśliwie. Mianowicie w samolocie pasażerskim, który leciał nad prowincją Antwerpji, a unosił ze sobą 12 pasażerów, nagle na wysokości 300 metrów wybuchł pożar. Sytuacja wydawała się beznadziejna, pomimo to lotnik skierował aparat ku ziemi, próbując lądować. Udało mu się to szczęśliwie. Nikt nie stracił życia. A udało się dzięki temu, że pasażerowie zachowali w obliczu śmierci spokój owych zakonnic, które toną. I przyczyna była podobna. Oto pomiędzy pasażerami znajdował się ksiądz katolicki, który wszystkim zagrożonym udzielił ostatniego rozgrzeszenia i przez całą płomienną drogę odmawiał modlitwy za konających, które uspokoiły serca zagrożonych.

**Proces o obiad.** Ciekawą sprawę miał do rozstrzygnięcia w tych dniach sąd pokoju w Courbevoie pod Paryżem. Sprawa toczyła się pomiędzy dwoma mężczyznami o zwrot kosztów za obiad, na który nie stawił się gość zaproszony. Rzecz się tak miała: Niejaki p. Williams, czarnoskóry ajent handlowy, zaprosił niejakiego p. Smitha, swego rodaka z Sierra Leone na obiad z rodziną. Tymczasem ani Smith, ani też jego rodzina, nie stawili się na obiad, przyczem nie uznali nawet za stosowne usprawiedliwić swej nieobecności. Oburzony tem Williams udał się do adwokata i za jego pośrednictwem wytoczył rodakowi sprawę o zwrot kosztów obiadu niespożytego. Sędzia, wysłuchawszy wywodów stron obu, orzekł, że choć w gruncie rzeczy przyjęcie zaproszenia

na obiad jest tylko zobowiązaniem grzecznościowem, to jednak nieprzybycie na obiad bez usprawiedliwienia, jeżeli wyrządza komu szkodę, to szkoda stąd wynikła powinna być naprawiona, Wobec tego sędzia wydał wyrok skazujący oskarżonego na zapłacenie kosztów obiadu.

**Dobrze mu w szpitalu.** Były władca Persji, szach Achmed Kadżar, który, choć kilka lat temu musiał porzucić swój tron wskutek rewolucji, żył sobie bardzo wygodnie w Paryżu, obecnie zachorował bardzo poważnie i udał się na leczenie do szpitala amerykańskiego w Neuilly. Pomimo choroby były szach urządzał sobie życie luksusowo i zupełnie w guście wschodnim. Wypełnił przeznaczone mu pokoje najwspanialszymi dywanami wschodnimi, tak że surowe, choć schludne sale szpitalne zmienił w pałac z baśni „Tysiąca i jednej nocy". Piękne meble i tajemnicze światła, błyszczące pomiędzy zasłonami, mieszają się z najnowożytniejszemi urządzeniami, do których należy doskonały odbiornik radjowy i niemniej doskonały gramofon. Były szach ma swój własny sztab służbowy, swego adjutanta i swego sekretarza, a od zarządu szpitala domaga się, ażeby się nim opiekowały tylko najmłodsze i najładniejsze pielęgniarki. Kiedy mu na to stan zdrowia pozwala, albo kiedy mu lekarze przepiszą, bierze kąpiel, perfumowaną olejkami najwytworniejszych róż i w tych warunkach życie szpitalne tak mu się podoba, że każdemu, kto chce słuchać, tłumaczy, iż on nie rozumie dlaczego ludzie miewają taki strach przed szpitalem, bo jemu tu całkiem dobrze, że nawet po wyzdrowieniu nie myśli się przeprowadzać gdzieindziej...

**Straszna katastrofa lotnicza.** Z Londynu donoszą, że w Maydenpark, w hrabstwie Surrey, wydarzyła się wstrząsająca katastrofa wielkiego niemieckiego samolotu komunikacyjnego. Samolot odleciał o godzinie 9'45 z Croydon w drogę przez Amsterdam do Berlina. Nad hrabstwem Surrey panowała gęsta mgła, utrudniająca lot. Po półgodzinnym locie w tych ciężkich warunkach, prowadzący samolot, źle oceniając sytuację, zniżył zbytnio lot i wpadł na wierzchołki drzew. Skutki były fatalne: Podwozie samolotu oderwane od skrzydeł, które zawisło na drzewach, zostało strzaskane i siłą upadku wtłoczone między drzewa. Prawie natychmiast nastąpił wybuch benzyny w zbiornikach i szczątki samolotu wraz ze znajdującemi się pośród nich osobami objęły płomienie. W samolocie znajdowało się ośm osób, z których tylko dwie zdołały ujść z życiem. Wszyscy inni zginęli. Książę von Schaumburg-Lippe wypełznął z samolotu w chwili, gdy objęły go już płomienie. Twarz jego i ręce zalane były krwią. Książę dowlókł się na czworakach do najbliższego domu, gdzie próbowano udzielić mu pierwszej pomocy, jednak ranny podziękował, zapytał, czy jest telefon w domu, a otrzymawszy odpowiedź przeczącą, udał się przy pomocy kilku ludzi do najbliższego domu, w którym był aparat telefoniczny. Stamtąd zaalarmował on lotnisko w Croydon. Drugi uratowany major Kipston zdołał wyskoczyć z samolotu tuż przed katastrofą. Mimo obrażeń, jakich doznał, rzucił się on na ratunek pozostałym ofiarom katastrofy, jednakże nie zdołał on dotrzeć do wnętrza aparatu, który objęły już silne płomienie.

**Gonitwa za szczęściem.** Do Londynu przybył oryginalny podróżny. Jest nim 85 letni amerykański obywatel z Bostonu, George Tienkham, który od lat 30 podróżuje po całym świecie, chcąc znaleźć, jak mówi, choć 10 minut szczęścia. Dotychczas jednak jeszcze go nie znalazł. Objechał on już dwa razy świat dokoła, doznał różnych wrażeń i przygód, polował w Afryce i w Indjach na dzikie zwierzęta, łowił ryby na wyspach oceanu Południowego, przeszedł lasy bawarskie, zakosztował nocnego życia w Paryżu i Berlinie, tańczył w Wiedniu, pił piwo w starych zajazdach angielskich — i nigdzie nie czuł się szczęśliwym. Nie dziwimy się, że nie czuje się szczęśliwym. Szczęście pełne można znaleźć tylko poza ziemią.

**Przygoda z wężem.** W ciepłych krajach mieszkańcy narażeni są nietylko na niebezpieczeństwo ze strony drapieżnych zwierząt, ale także ze strony rozmaitych jadowitych gadów, które niepostrzeżone wciskają się do mieszkań. O podobnym wypadku, jaki miał miejsce w indyjskiem mieście Kalkucie, opowiada pewien angielski urzędnik następujące szczegóły: Po uczcie, jaką urządziliśmy z okazji rocznicy ślubu, zaproszeni goście zapragnęli zobaczyć naszą śpiącą w sąsiednim pokoju córeczkę. Z wesołą wrzawą i śmiechem przyjęto pozwolenie i całe towarzystwo ruszyło do pokoju dziecinnego. Któryś z gości podniósł zwisającą u drzwi portjerę, spojrzał ciekawie w głąb i nagle zadrżał i zbladł. Za wzrokiem jego poszło całe towarzystwo i nagle rozbawiony tłum zamilkł, momentalnie opuszczając sypialnię. Oczom ich przedstawił się okropny widok. Obok łóżka na gałęzi, która wisiała dla zabawy dziecka, owinięty długiemi, mieozianemi skręty, wyciągał płaską głowę potężny wąż. Błyszczącemi ślepiami wpatrywał się w uśpione dziecko i z sykiem zbliżał się do jego szyji.



Zdawało się, że dla dziecka niema ratunku Gdy nagle ojciec dziecka pochwycił grubą trzcinę i rzucił się zrozpaczony, uderzając na oślep raz, drugi i trzeci. Cicho, bez szelestu, zsunął się nieżywy wąż na ziemię. Dziecko zostało ocalone.

**Dziecko urodzone w samolocie.** Dzienniki nowojorskie donoszą, że po raz pierwszy w Ameryce przyszło na świat dziecko w samolocie. Na pół godziny przed tem zdarzeniem ojciec noworodka przetransportował, przy pomocy karetki pogotowia, przyszłą matkę aż do samolotu, w którym zajęli oni miejsce z matką położnicy, dwiema sanitarjuszkami, lekarzem, dwoma pomocnikami i dwoma pilotami. Samolot znajdował się na wysokości 360 metrów nad Miami na Florydzie, kiedy dziecko ujrzało światło dzienne w powietrzu.

**Pociąg zatrzymany przez węże.** Nieraz już zdarzały się wypadki zatamowania komunikacji kolejowej przez szarańczę, która w takich ilościach spadła na tory, że pociągi nie mogły kursować, ponieważ koła ślizgały się po rozgniecionych owadach i obracały się w miejscu. Pierwszy natomiast wypadek zatrzymania pociągu przez węże miał niedawno miejsce w Marokku, gdzie pociąg, kursujący między Casablanką a Konrigha natrafił w pewnem miejscu toru na wędrówkę olbrzymiej ilości węży, których rozgniecione przez koła pociągu cielska, zatrzymały pociąg aż do chwili oczyszczenia toru.

# RZECZY CIEKAWE.

## Najciekawsze statystyki

Statystyki są najwymowniejszem odbiciem życia całej ludności. Z pośród opracowanych niedawno obliczeń statystycznych zasługują na najwyższe zainteresowanie następujące, bardzo ciekawe relacje:

Pomiędzy wszystkiemi państwami europejskiemi posiada najwięcej rdzennej ludności Portugalja. Na 1000 mieszkańców przypada tam 996 rdzennych Portugalczyków. Na dalszem miejscu kroczy Szwecja, która liczy 93.9 procent rdzennej ludności, oraz Norwegja z 93.2 procentami. Najbardziej mieszaną ludność posiadają Czechy i Jugosławja. I tak w Czechach jest 49.8 procent Czechów, Jugosławja zaś posiada tylko 52.4 procent Serbów. Polska zajmuje w tej tabeli jedno ze środkowych miejsc.

Najbardziej rolniczą ludność posiada Bułgarja. Ponad 82 procent ludności oddaje się tam rolnictwu. Najmniej rolników przebywa natomiast w Anglji, — gdzie zaledwie 8 procent ludności uprawia rolę.

Najbardziej pracowitymi są Francuzi. We Francji pracuje zawodowo ponad 55 procent ludzi. Najmniej natomiast pracuje w Rosji sowieckiej, gdzie zaledwie 30 procent ludności pracuje zawodowo.

Również ciekawie przedstawiają się statystyki i co do innych urządzeń w państwach europejskich. I tak najsilniejszą sieć kolejową w całej Europie posiadają malutkie państewka: Belgja i Luksemburg. Natomiast najwięcej dróg publicznych i szos posiada Anglja. Przypada tam na 100 kilometrów kwadratowych 125 kilometrów dróg i szos. Najgorzej pod tym względem zagospodarowana jest Hiszpanja. Przypada tam na 100 kilometrów kwadratowych zaledwie 5 kilometrów dróg i szos.

Pod względem żeglugi okrętowej morskiej stoją na czele świata Stany Zjednoczone. Najsłabszy ruch okrętowy posiada do tej pory Polska.

Najwyższy ruch pocztowy istnieje w Argentynie. Jeden mieszkaniec Argentyny otrzymuje przeciętnie rocznie 194 przesyłek pocztowych. W Polsce przypada na jednego mieszkańca tylko 28 przesyłek pocztowych rocznie. Najsłabszy ruch pocztowy posiadają Chiny, gdzie na jednego mieszkańca przypada tylko jedna przesyłka pocztowa rocznie.

Najbardziej oszczędnym na emigracji jest Włoch. Emigranci włoscy przesyłają rokrocznie do ojczyzny około półtora miljarda złotych. Ale również i emigranci polscy mogą się poszczycić oszczędnością. — Rokrocznie przypływa do Polski od emigrantów przeszło 280 miljonów złotych. — Stoją Polacy pod tym względem wyżej od emigrantów niemieckich, którzy oszczędzają rocznie tylko 200 miljonów złotych.

Najwięcej chleba zjada Belgja, a ziemniaków — Niemcy. Najwięcej herbaty spijają Anglicy, a wina Francuzi, zaś piwa Niemcy. Najbardziej rozpowszechnionym napojem u Moskali jest wódka i dlatego też naród ten stoi na tak niskim poziomie oświaty.

## Zmiana kur na koguty.

Doktorowi A. V. Drommowi, profesorowi zoologji przy uniwersytecie w Chicago, udało się po długich doświadczeniach przemienić kury w koguty, które piały, którym wyrosły grzebienie, kogucie piórka i ostrogi, które też wykazały wielką pochopność do bójek i które zachowywały się jak prawdziwe koguty. Z takiem samem powodzeniem, wymieniony profesor przeprowadzał cały szereg doświadczeń w odwrotnym kierunku, udowadniając tem samem, że jest też możliwem przemienić koguty w kury ze wszystkiemi zewnętrznemi znamionami prawdziwych kur. Te przeobrażenia uskuteczniają się przez delikatne operatywne przeniesienie gruczołów płciowych kurzych na koguty i odwrotnie.

Dr Dromm operował 175 kurek w pierwszych 30-tu dniach po wykłuciu. Przemiana ich w koguty, była trwała, jednakowoż gdy wyrosły, straciły piórka kogucie i dostały znowu upierzenie kurze. Przy odwrotnych doświadczeniach straciły kogutki w kilka tygodni po operacji zdolność do piania, dostały grzebienie kurze jakoteż wszystkie inne właściwości kur, nie posiadały jednak zdolności znoszenia jaj.

Taka przemiana jest tylko możliwą u ptaków z powodu właściwości fizycznych ich organizmu, któremi się odróżniają od reszty świata zwierzęcego. O opisanych doświadczeniach Dra Dromma donosi urzędowo stowarzyszenie amerykańskich zoologów.

## Czego kobieta nie potrafi?

Powiadają, że dzisiejsza kobieta potrafi wszystko. Może być adwokatem, lekarzem, sędzią, zajmować wszystkie urzędy polityczne, może być konduktorem i policjantem. Potrafi prowadzić samochód z największą szybkością, potrafi latać na samolocie i dokonuje również rozmaitych rekordów wytrzymałości tak w powietrzu, jak i w wodzie. W sportach wszystkich kobiety starają się pobić dotychczasowe rekordy mężczyzny. Prawdopodobnie jednak kobieta nigdy nie pobije rekordu, jaki osiągnął śmiały i wytrwały żeglarz francuski Alain Gerbault, który sam jeden odbył na swojej łodzi podróż naokoło świata. Powiedzą może kobiety, że to żadna sztuka objechać w łodzi motorowej naokoło świata, że to dla nich drobnostka, ponieważ ocean — to bagatela, burze na morzu — to zabawka, bo kobiety wszystko potrafią. A jednak zapominają o jednem, a mianowicie, że Alain Gerbault żeglował zupełnie sam, że przez cały ten czas podróży... do nikogo nie mówił. A przecież podobno milczeć przez pięć lat, to tego żadna kobieta nie potrafi; tak przynajmniej twierdzą znawcy płci pięknej, do których my się, niestety, nie zaliczamy!!

## Polska flota handlowa.

Polska flota handlowa rośnie z roku na rok. Obecny tonaż marynarki handlowej wynosi 37.850 ton.

Oprócz statków, które rząd polski nabył od tow. okrętowego „Żegluga Polska“ — ostatnio zakupiono kilka statków dla polsko-skandynawskiego towarzystwa okrętowego. W najbliższym też czasie zacznie kursować okręt szkolny „Pomorze“ o pojemności 2.500 tonn.

Nasza marynarka składa się z 18 statków, należących do rządu, 8 parostatków prywatnych, razem 26 jednostek morskich.

## NOWE KSIĄŻKI.

**Wydawnictwa Księgarni św. Wojciecha w Poznaniu.** Pod nazwą „Akcja katolicka“ powstało nowe zrzeszenie katolików świeckich, którego celem jest uświadomienie i ujednostajnienie sumienia katolickiego narodu w rzeczach ogólnych. Zrzeszenie to ma na celu wychowywanie obywateli po katolicku i wykazać ścisły związek moralności z życiem publicznem. Aby prace te ułatwić, ruchliwa Księgarnia św. Wojciecha w Poznaniu rozpoczęła wydawnictwo specjalnej bibljoteki, puszczając narazie w świat cztery książki. Pierwsza — pióra ks. Madera (Katolikiem jestem — cena 4 zł.) zobrazowała stan katolicyzmu na tle prądów i stosunków nowoczesnych i jest niejako apelem do hartowania ducha. Druga, zredagowana przez ks. Brosa (Akcja Katolicka a Polska — cena 1 zł. 50 gr.) podaje list Stolicy Apostolskiej do kardynała prymasa Hlonda o znaczeniu Akcji Katolickiej w Pol-

sce. Trzecia, skreślona przez ks. Stan. Adamskiego (Akcja Katolicka a duchowieństwo — cena 2 zł.) wyjaśnia stanowisko kleru w tej Akcji. Czwarta wreszcie, układu Francuza ks. Guerry (Kodeks Akcji Katolickiej" — cena zł. 6.50) podaje w kształcie artykułów prawnych orzeczenia papieskie, dotyczące posłuszeństwa hierarchji, obowiązków społecznych. Kościoła, państwa, rodziny, pokoju w świecie i znakomicie orjentuje każdego pracownika na niwie społecznej o całokształcie nowoczesnych zagadnień moralnych, socjalnych i politycznych. Wydawnictwo ukazuje się w porę, gdyż Akcja Katolicka w Polsce weszła właśnie w stadjum organizacji i niezadługo rozpocznie działalność na szeroką skalę.

Oprócz powyższych książek ukazała się na półkach księgarskich książeczka, obejmująca 190 stron druku p. t. „Marja Klotylda". (Cena 2 zł.). Marja Klotylda to kwiatek, który z winy wojny nie zdążył rozwinąć się w całej pełni. A jednak choć tak wcześnie tknięty kosą bezlitośnej śmierci, zapach cudownie wonny rozlał już po Francji i poi serca stęsknione do nieba. Matka świętego dziecięcia spisała o nim wspomnienia ze łzą w oku, lecz i otuchą w sercu. Niechże w jego towarzystwie wzrastają duszyczki młode i gotowe będą odpowiedzieć na apel ideału świętości: Jesteśmy!

Jak wszystkie wydawnictwa Księgarni św. Wojciecha, tak i powyższe zasługują na gorące poparcie.

## ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pp.: **Jan Rembilas** w Z.: I my to wiemy dobrze, że niestety dużo jeszcze jest u nas takich ludzi, którzy na tytoń i wódkę nie żałują grosza, ale na gazetkę go nie mają. Cudzaby czytali, ale na swoją żal im pieniędzy. Gdyby wszyscy ci, co czytają „Rolę", sami ją dla siebie prenumerowali, a nie korzystali z cudzej łaski, mielibyśmy taką ilość prenumeratorów, żebyśmy mogli gazetkę w dwójnasób powiększyć. O ile nam wiadomo, to wdowie wojennej, o ile wyjdzie drugi raz zamąż, żadna pensja się nie należy. To, co mówili posłowie w Podegrodziu, to są bujdy, którym tylko ten wierzy, kto rzeczy nie rozumie. A więc po pierwsze: Rząd sam żadnych podatków nałożyć nie może, ale tylko sejm. Za obecnego rządu ani razu podatki nie zostały podwyższone; wszyscy płacą takie podatki, jakie zostały jeszcze ustanowione za rządów pp. Witosa i Grabskiego. Z wszystkich ministrów skarbu, który rządzili w Polsce, minister Czechowicz był najlepszym ministrem, gdyż on uporządkował finanse państwa, które zabagniły poprzednie rządy, a właściwie ich ministrowie skarbu: Kucharski, Zdziechowski i inni. Prawda, że wydał więcej, niż mu sejm uchwalił, ale wydał na rzeczy potrzebne, jak rozbudowa portu w Gdyni i inne rzeczy, a wydał z pieniędzy przez siebie zaoszczędzonych. I to właśnie jest smutne, że dobrego ministra postawili nasi posłowie w stan oskarżenia i przeciw niemu występują, a tych, którzy nas sprowadzali nad przepaść jeszcze i dziś bronią. Słusznie też Marszałek Piłsudski broni ministra Czechowicza, bo ten w całej pełni na to zasługuje. Co w tem wszystkiem najsmutniejsze, to to, że posłowie nasi jeżdżą po wsiach i duby smalone ludziom pletą, a ci im wierzą. — **Józef Serafin** w M.: O ile nam się zdaje, to wiersz „Sen" drukował już Pan przed kilku laty w jakiemś piśmie pod innem nazwiskiem. — **Józef Kowalik** w K.: Wierszyk bardzo dobry, mamy jednak tak wielką ilość wierszy, że nie możemy oznaczyć, kiedy będzie drukowany. — **Solecki** w S.: „Weselna droga" i „Zwierciadło na dachu" bardzo dobre; „Dziki człowiek" również zupełnie dobry, ale zdaje nam się, że dla „Roli" nieodpowiedni. Dziękujemy i prosimy o dalszą pamięć. — **Władysław Zaręba** w O.: Utwory na konkurs otrzymaliśmy. — **Kazimierz Barnaś** w K.: Wierszyki dobre, a byłyby jeszcze lepsze, gdyby Pan nie mieszał rymów męskich z żeńskiemi. „Wiolenczelista" dla większości naszych czytelników byłby niezrozumiały. — **Ant. Młynarski** w R.: Adres skróciliśmy, za życzenia dziękujemy.

**Omyłka w druku.** W poprzednim numerze w utworze p. t.: „Dzwony" w trzeciej szpalcie, po słowach: „spowity cały w śnieżnym dymie" opuszczony został wiersz: „Walczy wódz z garścią swych żołnierzy".

# Zagadki do nagrody.

## 1. Logogryf.

(Ułożył Alfons Czader z S. W.).

☆ ☆ ■ ☆ ☆ Wyspa japońska.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Wybrzeże morskie.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Zwierzę amerykańsk e.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Kraj w Afryce.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Owad.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Imię żeńskie.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Pokrywka.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Miasto w Polsce.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Gospodarz.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Jarzyna.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Świat zwierzęcy.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Część drzewa.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Rozgłos.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Rzeka w Polsce
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Czarnoksiężnik.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Miasto w Egipcie

Litery środkowe czytane z góry na dół dadzą imię i nazwisko bohatera w walce o niepodległość.

## 2. Szarady.

(Ułożył Alfons Czader z S. W.).

I.

Drugi ma w swym biegu liczne wodospady,
Znajdziesz go na mapie i bez mojej rady.
W grupie wysp malajskich trzecia, pierwsza leży
Więc próbuj pamięci, póki umysł świeży.
Drugi wspak jest często w stawach hodowany,
Wspak trzy, pierwsze, pół trzy — wyraz żyda znany.
Całość do pieczenia używana bywa,
W sklepie ją dostaniesz, więc jak się nazywa?

II.

W dobrym jest humorze nasz pan Maciej-sługa,
Gdy na obiad w misce dymi pierwsza druga.
Drugie czwarte zmienia z każdym rokiem moda,
Choć przez to nic na tem nie zyska uroda.
Drugi pierwszy pół trzy jest to wilka krewny.
Że go wszyscy znacie jestem niemal pewny.
Czwarta pierwsza stoi w polu lub w ogrodzie,
Całe: wieloryby, w morskiej żyją wodzie.

## 3. Kwadrat magiczny.

(Ułożył Adam Galer).



Ptak.
Ciecz.
Mgła.
Ogród.

## 4. Łamigłówki.

(Ułożył Fr. Maciol z S. B.).

Przez „r" w wodociągach będzie.
Przez „s" niejeden jest w świecie.
Przez „b" barwa znana wszędzie.
Przez "m w śnie zgadniecie.

## 5. Szarada literacka.

(Ułożył H. Bilka-Głębicki).

Pierwsze siódme trzecie pierwiastek chemiczny,
Czwarte piąte szóste rozdział dramatyczny,
Zaś druga i ósma litera w alfabecie —
A całość nad „Rolą" pracuje zawzięcie.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 23 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 44 „Roli": 1. Logogryf: Kazimierz Pułaski, konfederat barski. 2. Szarady: I. Bukareszt. II. Paryż. 3. Bilet wizytowy: Antoni St. Bassara, redaktor „Roli". 4. Urywek z listu: Jan Chryzostom Pasek, Joachim Lelewel, Franciszek Karpiński, Wincenty Pol, Mikołaj Rej, Michałko. 5. Łamigłówki: mur, as, kur, pas.

Dobrego rozwiązania wszystkich zagadek w oznaczonym czasie nikt nie nadesłał.

**Wydawca: Feliks Kowalczyk.** **Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.**
**W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.**

### W restauracji.

— Kazałem dać sobie jeden kotlet wołowy, a oni przynieśli mi dwa cielęce...

— No widzisz, wołowiny nie mieli, a ponieważ dwa cielęce, to tyle co wół, więc ci dali dwa kotlety cielęce.

### W wagonie.

— Ach panie, czy ta strzelba aby nie nabita?

— Bądź pani spokojną! Jest wprawdzie nabita, ale dla bezpieczeństwa zatkam ją korkiem.

— O, stokrotnie dziękuję panu...

### Konkluzja.

Sędzia: Co pan możesz jako świadek powiedzieć w kwestji kłótni tych dwojga małżonków?

Świadek: Chyba tylko tyle panie sędzio, że się nigdy w życiu nie ożenię.

### Nieszczęście.

— Czy to prawda, panie Salezy, że pan Wiktor żeni się?

— Nie dziwiłbym się ani trochę, gdyby tak było. Człowiek nie wie, co go czeka: dziś jest szczęśliwym, a jutro może już być żonatym.

### Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy:

w dniu 12 listopada b. r

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

| | | | |
|---|---|---|---|
| Buhaje . | od 1·02 do 1·60 zł. | Jałownik | od 1·05 do 1·70 zł. |
| Woły . . | od 1·15 do 1·78 zł. | Cielęta . | od 1·80 do 2·90 zł. |
| Krowy . | od 0·80 do 1·55 zł. | Kozy i barany | 0·00 do 0·00 zł. |
| Nierogaciznę | 2·10 do 2·80 zł. | Nierogaciznę bitej wagi | od 3·05 do 3.58 |

### Giełda płodów rolniczych

z dnia 8 listopada b. r.

| | | | |
|---|---|---|---|
| Pszenica . | 39·50—39·50 | Słoma długa | 8·00—9·00 |
| Żyto . | 25·50—26·00 | Ziemniaki stoł. | 6·00—7·00 |
| Owies . . | 21·50—22·50 | Koniczyna nasienn. czer. | 00·00—00·00 |
| Jęczmień . | 23·00—25·00 | Mąka żytnia | 40·50—41·50 |
| Fasola biała | 98·00—103·00 | Mąka pszen. | 71·00—72·00 |
| Groch zwyk. | 48·00—50·00 | Otręby pszen. | 15·50—16·00 |
| Siano słodk. | 10·00—11·00 | Otręby żytnie | 16·00—00·00 |
| Łubin żóły | 28·00—29·00 | Mąka czerw. | 19·00—20·00 |
| Koniczpastew. | 13·00—15·00 | | |

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.